

5. 11. 72

45 (781) Rok XV Cena 1.50 zł

ANDRZEJ F. GRABSKI
pisze o ROMANIE DMOWSKIM i ANDRZEJU MICEWSKIM

Roman Dmowski, założyciel i przywódca Narodowej Demokracji, urodził się w 1864 roku, zmarł w 1939 r. Był czołowym ideologiem polskiego nacjonalizmu, rzecznikiem udziału w zwalczaniu ruchu rewolucyjnego w latach 1905—1906. Był prezesem Koła Polskiego w III Dumie Państwowej, a w czasie wojny — przewodniczącym delegacji polskiej na konferencji pokojowej. Był przeciwnikiem Józefa Piłsudskiego i sanacji. W 1926 roku założył Obóz Wielkiej Polski — nacjonalistyczną organizację o charakterze faszystowskim. Andrzej Micewski — publicysta zajmujący się historią, opublikował książkę, wydaną przez „Verum”, którą poświęcił Romanowi Dmowskiemu. Jest to w polskiej literaturze powojennej pierwsza tego typu publikacja. Publikujemy pierwszy szkic krytyczny pt. „TRADYCJA I SZCZĘŚLIWOŚĆ PUBLICYSTY”. Drugi ukaże się w następnym numerze „Odgłosów”.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Oto zapadła wieś — MARCHEWKI, kępa słomianych dachów w powiecie pajęczańskim, chłopskie gniazdo na poboczach kolejowej drogi. Szlak ten nosi nazwę magistrali węglowej Śląsk — Party: Linia, owszem, zelektryfikowana, zahaczająca o stację Chorzew-Siemkowice, która wypuszcza towarowe pociągi na północ, poprzez Rusiec Łódzki, i na południe, poprzez Działoszyn.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

KOMU RADOŚĆ Z OSPAŁYCH POCIĄGÓW

(Część pierwsza, która powinna być w zasadzie częścią drugą)

Równoległe z tą południową, działoszyńską linią, biegnie jakiś czas inny jeszcze, kolejowy trakt, z tym, że nie zelektryfikowany, moźolnie pnący się zakosami pod górę i zbaczający tuż za Marchewkami w stronę stacji Biała Pajęczańska. Podłączony do długich, ciężkich składów parowozów osiagają na tej trasie zawrotną szybkość dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Taki pociąg można zresztą jeszcze bardziej przystopować, skacząc z nasypu na stopnie ładownych wagonów i przykręcając ręczny hamulec. Taki pociąg można jednym słowem zrobić w biegu.

Zresztą — szybkościowa, elektryczna magistrala też zostawia pole do popisu... Przecież między stacją Chorzew — Siemkowice i

stacją Działoszyn, w niewielkiej odległości od Marchewek, znajdują się dwa tak zwane posterunki odstępowe, kontrolne: Sadowiec i Trębaczew. Pierwszy leży pośród lasów, w głębokim i pustym wąwozie, drugi — na szerokiej, odludnej równinie, gdzie loskot przelatujących się pociągów szybko ustępuje miejsca głuchej, martwej ciszy. Sadowiec i Trębaczew — owe murowane domki przy torach, określone w kolejarskiej gwarze jako bloki — wyposażone są w myśl obowiązujących przepisów w semafor dla obu kierunków ruchu.

A jednak taki semafor nie zawsze musi działać w zgodzie z interesami PKP.

Taki semafor, jeśli tylko znaleźć odpowiedniego czło-

wieka, może nawet zatrzymać pociąg dla szakali.

Oto akt oskarżenia. Opisanych tu ludzi wiąże przede wszystkim przestępstwo.

Ale jest również kilka innych, wspólnych mianowników, które przydają sprawie obcego, „sycylijskiego” blasku.

Czternaście imion i tylko dziewięć nazwisk.

Albo inaczej:

Trzynastu winowajców i tylko cztery rodziny.

Albo jeszcze inaczej:

Jedenaście imion trzy rodziny i tylko jedna mała wieś!

Klany rodowe w Marchewkach uprawiały złośliwski proceder totalnie,

U Zjawionych — ojciec Antoni i trzech jego niewyrodnym synów, z których najstarszy, Stanisław, zajmuje na liście oskarżonych pierwsze miejsce. U Siedlisów — dwudziestoletni Henryk (drugie miejsce), jego brat Bogdan i szwagier Józef Lipiński. U Włazlaków — ojciec Czesław (trzecie miejsce), jego piętnastoletni syn Tadeusz, jego brat Jan, oraz zięć Lucjan Zygmunt. U Kalwaków, którzy mieszkają poza Marchewkami, działał tandem małżeński: Marian — Regina.

Nigdy nie da się chyba sporządzić pełnej listy dokonanych przez tę szajkę właman. Zaczęło się przecież od

Dalszy ciąg na str. 4

SPRZYMIERZENIE CZY WRÓG?

PRZED WSZYSTKIM
SPRZYMIERZENIE!

Z inicjatywy WYDZIAŁU PROPAGANDY I AGITACJI KŁ PZPR odbyło się spotkanie poświęcone aktualnym problemom krytyki artystycznej w Łodzi. Po referatach — traktujących o krytyce literackiej, teatralnej i filmowej — odbyła się dyskusja. Powołano zespół, który opracuje wnioski, mające na celu poprawę krytyki w Łodzi.

Referaty i dyskusja z tego spotkania stały się podstawą dla rozważań ANDRZEJA HAMPLA i BOGUMIŁA MACIEJEWSKIEGO na temat stanu krytyki artystycznej w Łodzi.

ANDRZEJ HAMPŁE zadał pytanie: SPRZYMIERZENIE CZY WRÓG? — nie dając jednak jednoznacznej na to pytanie odpowiedzi.

Uczynił to BOGUMIŁ MACIEJEWSKI który nie we wszystkim zgadzając się z Andrzejem Hamplem, opowiada się jednak za tym, że krytyk jest PRZED WSZYSTKIM SPRZYMIERZENIEM.

Oba artykuły czytaj na str. 6

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



Dalszy ciąg na str. 5

pozytywnych stronach reorganizacji władz terenowych na wsi nie ma potrzeby nikogo przekonywać, gdyż nie ma w ogóle przeciwników tej reformy. Odwiedziłem natomiast wieś, która wkrótce przestanie być siedzibą władz gromadzkich, i której ludność jest temu bardzo przeciwna. To zrozumiałe, operacja jest w końcu dość skomplikowana i byłoby rzeczą dziwną, gdyby odbywała się w sposób bezkonfliktowy czyli arytmetyczny, a nie polityczny. Reforma administracji wcale nie musi przebiegać przecież w sposób administracyjny.

KAROL BADZIAK

NIE BĘDZIE GMINY W ROSSOSZYCY?

Rossoszycy to duża i ambitna wieś w powiecie siedleckim, która od dawien dawna posiadała na swym terenie gromadzką radę. Ludzie tutejsi przywykli do

tego, że władza znajdowała się zawsze na miejscu i trudno im sobie wyobrazić, że siedziba nowej gminy będzie się mieścić w odległej o 12 km Warcie. Nawet najstarsi

memoriał do Prezydium PRN. Zaczyna się on w sposób następujący:

„W związku z licznymi zapytaniami miesz-

kańców tutejszej gromady o utrzymanie siedziby Gromadzkiej Rady Narodowej w Rossoszycy, tutejsze Prezydium prosi o wyjaśnienie nam tej sprawy celem przekazania mieszkańcom naszych So-

łectw. Nadmieniamy, że teren tutejszej gromady posiada przestrzeń obszaru w ilości 6.780 ha, osiem sołectw z zaludnieniem około 3.000 mieszkańców. Gromadzka Rada Narodowa po-



Wojna wietnamska — miejmy nadzieję — dobiega końca. Opublikowany przed kilku dniami przez DRW projekt porozumienia w sprawie zaprzestania walk i przywrócenia pokoju stwarza podstawy uregulowania konfliktu. Wprawdzie w chwili pisania tego komentarza napłynęły informacje, że Waszyngton, wskazując na Sajgon jako przyczynę, raz jeszcze przesunął termin podpisania porozumienia, wyznaczony na 31 października (Odgłosy będą się wtedy drukować), ale jest to już tylko gra na zwłokę. Nie wydaje się bowiem, aby wąskie interesy marionetkowego prezydenta Thieu — przy całej sympatii, jaką darzy go Waszyngton — mogły zniweczyć długo oczekiwane porozumienie.

Jakie są jego podstawy?

Oświadczenie rządu DRW omawia porozumienie w 9 punktach.

1. USA respektują niezależność, suwerenność i integralność terytorialną Wietnamu.

2. W ciągu doby po podpisaniu porozumienia zaprzestanie się ognia na całym terytorium Wietnamu Południowego, Stany Zjednoczone przerywają bombardowania DRW i odblokują porty. W okresie 60 dni USA i ich sojusznicy wycofają wojska.

3. Uwolnienie jeńców wojennych będzie prowadzone równoległe z wycofywaniem wojsk.

4. Ludność Wietnamu Płd. zadecyduje o przyszłości tego kraju w powszechnych wyborach, które odbędą się pod nadzorem międzynarodowym. Wcześniej powstanie Narodowa Rada Pojednania i Zgody Narodowej, która składać się będzie z trzech równorzędnych komponentów. Ona to zorganizuje wybory. Obie strony południowowietnamskie przeprowadzą konsultacje w sprawie utworzenia rad niższych szczebli, co zawarte będzie w układzie o wewnętrznych sprawach Wietnamu Płd.

5. Ponowne zjednoczenie Wietnamu będzie się dokonywało stopniowo, za pomocą pokojowych środków.

6. Utworzone zostaną: czterostronna komisja wojskowa oraz mieszana komisja wojskowa dwu stron południowowietnamskich.

Powołana zostanie do działania również międzynarodowa komisja kontroli i nadzoru.

W ciągu miesiąca od wejścia układu w życie zwołana zostanie międzynarodowa konferencja w sprawie Wietnamu.

7. Rząd DRW, dwa rządy Wietnamu Płd. i rząd USA będą ściśle przestrzegać praw narodowych ludności Kambodży i Laosu, respektować neutralność tych krajów i nie wykorzystywać ich terytoriów do zadawania ciosów suwerenności innym krajom. Obec państwa wycofają stamtąd swoje wojska.

8. Zaprzestanie wojny stworzy warunki do nawiązania stosunków, opartych na zasadach równości między DRW i USA. Stany Zjednoczone wezmą udział w powojennej odbudowie DRW i całych Indochin.

9. Układ wejdzie w życie w chwili podpisania go.

Już tylko wyliczenie głównych postanowień porozumienia wskazuje na zwycięstwo narodu wietnamskiego, który walczył o wycofanie obcych wojsk i możliwość zrealizowania wymienionych w porozumieniu zasad.

Osiągnięcie porozumienia w sprawie pokojowego uregulowania konfliktu jest wyrazem zwycięstwa rozsądku, który z opóźnieniem zatrumfował. Cieszy to wszystkich przyjaciół narodu wietnamskiego, a zwłaszcza tych, którzy — jak Związek Radziecki, Polska i inne socjalistyczne kraje — wspierały go w sprawiedliwej walce. Toczyła się ona przez górną 27 lat. Najpierw z kolonizatorami francuskimi, potem z interwentami amerykańskimi, którzy uczynili, ale i z własnym politycznym interesem wsparli reżim sajgoński. Francja ze swego niefortunnego zaangażowania wycofała się w 1954 roku, wyciągając słuszne wnioski, że tylko na drodze negocjacji problem może być rozwiązany. Z francuskich doświadczeń nie chcieli skorzystać Amerykanie. Wplątali się w konflikt, za początek którego trzeba uznać 1961 rok, kiedy to do Wietnamu skierowano doborowe oddziały amerykańskich „zielonych beretów” i helikoptery, pilotowane przez amerykańskich lotników. Od tamtego czasu wciągał USA coraz głębiej w konflikt na lądzie, morzu i w powietrzu. W 1968 r. w Wietnamie walczyło już 500 tys. żołnierzy USA.

Amerykańskie niepowodzenia interwencyjne i nacisk opinii świata skłoniły Stany Zjednoczone w styczniu 1969 roku do rozpoczęcia negocjacji. Na ich miejsce wybrano Paryż. Jednak aż prawie 4 lata trzeba było czekać na porozumienie. Wielokrotnie inicjatywy pokojowe TRR Wietnamu Płd. i DRW paraliżowała strona amerykańsko-sajgońska. Ostra krytyka w USA udziału w wojnie sprawiła, że prezydent Nixon ogłosił tzw. program wietnamizacji. Liczebnie zmniejszał się więc udział wojsk amerykańskich w konflikcie. Interweniowała jednak nadal nowoczesna technika militarna, a oblężenie południowych miast i portów — nie zmniejszały amerykańskiej odpowiedzialności za trwanie wojny.

Czas uzgodnienia zasad przywrócenia pokoju nie jest przypadkowy. Nixon chce już przed wyborami rzucić na szalę atut wygaszenia konfliktu, zjednać oponentów wojny. Czy traci na tym jego rywal — McGovern, tak ostro atakujący obecnego prezydenta za politykę indochińską?

Współpracownicy kandydata demokratów twierdzą, że nie. McGovernowi przypisują, że Nixon musiał się teraz zdecydować na ten krok. Zdyskontuje to pewnie McGovern w ostatnich dniach kampanii wyborczej.

W. SŁAWSKI

ZWIĄZKOWCY PRZED VII KONGRESEM.

Zakończyła się kampania sprawozdawczo-wyborcza w związkach zawodowych. Odbłyły się 23 zjazdy związków branżowych, które wybrały nowe władze i delegatów na kongres. 27 bm., odbyło się plenium CRZZ, ostatnie w tej kadencji, poświęcone przygotowaniom do kongresu. Plenium akceptowało tezy do kongresowego wystąpienia przewodniczącego ustępującej Rady, oraz dokonało oceny tej wielkiej kampanii związkowej.

O jej rozmiarach niech zaświadczy kilka liczb. W krajowych zjazdach związków branżowych uczestniczyło ponad 6 tys. delegatów. Dzięki prowadzeniu dyskusji w sekcjach i zespołach blisko 2,5 tys. delegatów mogło przedstawić swoje opinie i wnioski. W wyniku wyborów do zarządów głównych dokonano odnowy ich składu w ok. 66 procentach. Ma to istotną, pozytywną wymowę.

Na VII Kongres wybrano 1728 osób. Wśród nich jest 283 delegatów wybranych bezpośrednio w dużych zakładach pracy. Charakterystyczny jest również skład socjalny delegatów. Połowa, to robotnicy, kobiet jest ok. 33 proc., a 20 procent nie przekroczyło trzydziestego roku życia.

Przebieg poszczególnych dyskusji zjazdowych CRZZ ocenila pozytywnie, określając ją jako „dojrzałą, odpowiedzialną i rzeczową”. Dominowały w niej problemy związane z realizacją Uchwały VI Zjazdu Partii w części dotyczącej działalności zw. zawodowych, a więc: konieczność nierozdzielnej traktowania spraw produkcyjnych, warunków socjalno-bytowych i wychowania załóg; lepsza informacja o pracy o działalności związku, konsultacja podstawowych projektów rządowych i związkowych dotyczących bezpośrednio ludzi pracy. Również wiele miejsca w

dyskusji poświęcono istniejącym jeszcze rezerwom w naszej gospodarce narodowej. Krytycznie mówiono o dyscyplinie pracy, o zbyt małym zaangażowaniu administracji w sprawach bezpieczeństwa i higieny pracy. Postulowano inny niż dotychczas podział funduszy i świadczeń socjalnych oraz zasady odpłatności za niektóre świadczenia. Wielokrotnie w wystąpieniach i dokumentach zjazdowych podkreślano konieczność doskonalenia stylu i metod pracy wszystkich instancji i ogólnie związkowych, zwłaszcza oddziaływanie rad zakładowych na prac, które powinna wykonywać administracja.



Ostatnie dni przed kongresem przeznaczone są na dyskusje nad projektami dokumentów kongresowych. Przewidziane są również wspólne posiedzenia prezydium nowych zarządów głównych i kierownictw zainteresowanych resortów w celu ustalenia planów i sposobów realizacji wniosków przyjętych na zjazdach krajowych.

POLSKO-BULGARSKIE ROZMOWY. Dwudniową, oficjalną wizytę złożył

w naszym kraju premier Bułgarii Stanko Todorow, w celu przeprowadzenia rozmów na najwyższym szczeblu rządowym. Premier Bułgarii i Polski omówili szeroki krąg zagadnień z dziedziny stosunków dwustronnych, a także problemy międzynarodowe, którymi są zainteresowane oba kraje. Rozmowy potwierdziły pełną zgodność poglądów w ocenie aktualnej sytuacji międzynarodowej, w sprawie dalszego umacniania „jedności państw socjalistycznych, a także wspólnego działania na rzecz umacniania pokoju, bezpieczeństwa i konstrukttywnej współpracy w Europie i w świecie.

Premier Jaroszewicz i premier Todorow poinformowali się wzajemnie o sytuacji w obu krajach, o kierunkach i realizacji podstawowych zadań socjalistycznego rozwoju Polski i Bułgarii.

Stwierdzono z zadowoleniem pomyślny rozwój współpracy Polski i Bułgarii we wszystkich dziedzinach życia politycznego, gospodarczego, w sferze nauki, techniki i kultury. Podkreślono, że współpraca ta dobrze służy umacnianiu wspólnoty socjalistycznej.

Ważne miejsce w rozmowach zajęły sprawy gospodarcze. Rozważano możliwości i konkretne metody podniesienia na wyższy poziom zarówno współpracy gospodarczej, jak i w nauce i technice. Dano wyraz przekonaniu, że istnieją na tym polu poważne i rosnące możliwości, które stwarza dynamiczny rozwój gospodarczy obu krajów.

Podczas pierwszego dnia wizyty premier Bułgarii został przyjęty przez I Sekretarza KC PZPR. Rozmowa, która dotyczyła węzłowych problemów współpracy polsko-bułgarskiej przebiegała w serdecznej i przyjacielskiej atmosferze.

J. ŻAK

■ PORZĄDEK I BEZPIECZEŃSTWO. Wprawdzie jeszcze nie wszędzie i nie zawsze jest bezpiecznie na ulicach miast, miasteczek i na wsi, ale współpraca milicji ze społeczeństwem pozwoli dawać coraz lepsze rezultaty. Tworzy się klimat potępienia dla wszelkiego rodzaju obrobków i chuliganów. Niepokoją jeszcze tylko przestępstwa młodocianych. I dlatego tu również potrzebna odpowiedniego klimatu społeczność, który pozwoliłby na coraz bardziej skuteczną profilaktykę i w tej dziedzinie. Zapobieganie przestępstwom wśród młodzieży stało się pilną społeczną potrzebą.

Podobnego klimatu potrzeba również w środowisku dorosłych, a musi to być powszechne potępienie dla przestępstw gospodarczych. Wprawdzie milicja w województwie łódzkim oraz prokuratura w ciągu 9 miesięcy br. wszczęły postępowanie w 10,5 tys. przypadków, tzn. o 2270 przypadków mniej niż w ubiegłym roku, wprawdzie działa się coraz skuteczniej, ale to nie powinno nikogo uspokajać. Potrzeba coraz doskonalszej i skuteczniejszej kontroli w przedsiębiorstwach i instytucjach. Potrzeba mniej pobłażania dla ludzi lekceważących swoje obowiązki, dla wszelkich przejawów lekkomyślności, braku odpowiedzialności i gospodarczego szkodnictwa, a także dla zwykłego złodziejstwa, które często ukrywa się pod mianem przestępstwa gospodarczego. Za te przestępstwa płaci społeczeństwo.

■ URBANISTYKA NA WSI. Szybko rozwijająca się wieś wymaga nie tylko pomocy ze strony przedsiębiorstw budowlanych, od których oczekuje prefabrykatów, ale też pomocy ze strony planistów i projektantów. Jak taką pomoc zapewnić budującym się wsi? Odpowiedzi na to pytanie szukali urbanisci z całej Polski, którzy niedawno spotkali się w miejscowości, szeroko omawiać problemy planowania przestrzennego na wsi. Wśród postulatów, jakie padły na tym spotkaniu, mówiono m. in. o potrzebie skierowania specjalistów, którzy mogliby zająć się fachowym doradztwem dla budujących się rolników. Stwierdzono np., że obecnie po dokonaniu reformy administracyjnej na wsi, w każdej gminie powinien być technik budowlany, który na miejscu mógłby pomagać rolnikom w rozwiązywaniu ich budowlanych kłopotów. Postulowano również powołanie spółdzielczości mieszkaniowej na wsi. W obradach uczestniczyli m. in. przedstawiciele NK ZSL.

■ 25 LAT „SEMAFORA”. Powstał w 1947 roku. Do tej pory 500 filmów. Zdobył 106 nagród i wyróżnień. Na początku produkował rocznie 3-4 filmy. Dziś produkuje ich 41. Przez te 25 lat współpracowali z „SEMAFORA”

REM” m. in.: Lucjan Dembiński, Wacław Fedak, Janina Hartwigowa, Jadwiga Kędzierska, Lidia Kornicka, Alina Kotowska, Jerzy Kotowski, Leszek Nariowski, Daniel Szezechura i Edward Sturlik.

„SEMAFOR” przygotował m. in. serię filmów dla kin i telewizji: „Przygody misia Colargola”, „Zaczarowany ołówek”, „Przygody Sindbada Żeglarza”. A przygotowuje dalsze filmy dla telewizji. Czekają na nie dzieci i dorośli.

■ NIC NOWEGO O ŁÓDZKIM HANDLU. Już nie nowego nie można powiedzieć o łódzkim handlu. Dostatecznie często powtarzają się narzekania na złe zaopatrzenie sklepów, na słaby wybór towarów, na wadliwą ich ekspozycję, a także na nieczytelność klientom obsługi. Powtarzało to po raz tysięczny czy tysięczny i któryś? A przecież wystarczy spróbować kupić w sobotni wieczór bochenek chleba,



nie mówiąc już o bułkach, wystarczy chcieć kupić coś z wyrobów przemysłowych, aby natychmiast przypomniały się wszystkie pretensje i żale, kierowane tylekroć pod adresem łódzkiego handlu. Powtarza więc je ponownie? Nie ma to już sensu, bo zaraz usłyszymy w odpowiedzi o wadliwej strukturze i geografii handlowej, o niedostatkach organizacji pracy i brakach kadrowych. A przecież inne miasta jakoś sobie radzą i z siecią sklepów i z obsługą i z zaopatrzeniem. Jak oni to robią?

O niedostatkach w pracy handlu mówią też... producenci. Ostatnio 3 łódzkie fabryki: „Lido”, „Olimpia” i „Kalina” spróbowały zbadać rynek na własną rękę. Gdzie to zrobili? Mylili się ten, kto sądziłby, że w Łodzi. Trzy łódzkie firmy badały rynek w województwach... białostockim i lubel-

skim. Nie mam nic przeciwko temu, gdyby nie droższka, gdyby zażyczył sobie również i o rynek Łodzi i województwa łódzkiego. Widać pewnie uważa się, że w łódzkich sklepach jest wszystko w porządku. Można i tak, tylko, co z tego będzie miał łódzki klient? Jedyne zapewnienie, że analizuje się rozmieszczenie sklepów, opracowuje się koncepcję sprawniejszego ich zaopatrywania i przygotowuje się kolejną... reorganizację. I po tych zmianach znowu będzie można powtórzyć znane powszechnie pretensje na temat pracy łódzkiego handlu. Obym nie był pesymistą!

■ GDZIE SPĘDZIĆ NOC? Nie jest to pytanie dla ludzi lubiących nocne życie. Przeciwnie, dla ludzi, którzy po delegacyjnych trudach chcieliby złożyć na poduszeczkę skołowaną głowę. Województwo łódzkie nie jest bowiem bogate w hotele. Nie ma należącego do hoteli Łowicz, Wieluń, Kutno, Rawa Mazowiecka. W tej ostatniej miejscowości noclegi dla podróżnych organizuje... Powiatowa Spółdzielnia Włókiennicza. W przyszłości ma tu powstać hotel. A więc będzie lepiej. Hotele mają też powstać w innych miastach powiatowych. I powinny, bo województwo łódzkie leży na trasach przelotowych, w samym środku kraju i tu będą się krzyżowały przygotowywane autostrady. Zbudowane teraz hotele będą więc w przyszłości dobrze procentowały.

A przy okazji głoszę pochwałę dla bardzo dobrze prowadzonego choć małego i skromnego hotelu w Tomaszowie Mazowieckim.

■ PIERWSI W ŁODZI PROFESOROWIE SZKOŁY ŚREDNIEJ. Tytuły takie nadano, jako pierwszym w Łodzi wykładowcom szkół średnich z dziedziny Górna. Otrzymało je 46 nauczycieli.

■ III OGÓLNOPOLSKI PRZEGLĄD. W kinie „Lutnia” odbył się już III Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych, wzbogacony dodatkowym pokazem filmów radzieckich o takiej tematyce.

■ WIZYTY. W zychlińskim „Emicie” goszczą dziennikarze z NRD, interesujący się tematyką ekonomiczną i społeczną. „Emici” nosi imię Wilhelma Piecka i utrzymuje stałe kontakty z NRD.

— W ramach współpracy Uniwersytetu Łódzkiego z Państwowym Uniwersytetem w Tbilisi do Łodzi przybyła grupa studentów prawa z Gruzji. W Tbilisi bawili już łódzcy studenci. Wzajemne wizyty złożyli sobie też wykładowcy i pracownicy obu uczelni.

M. RODAK



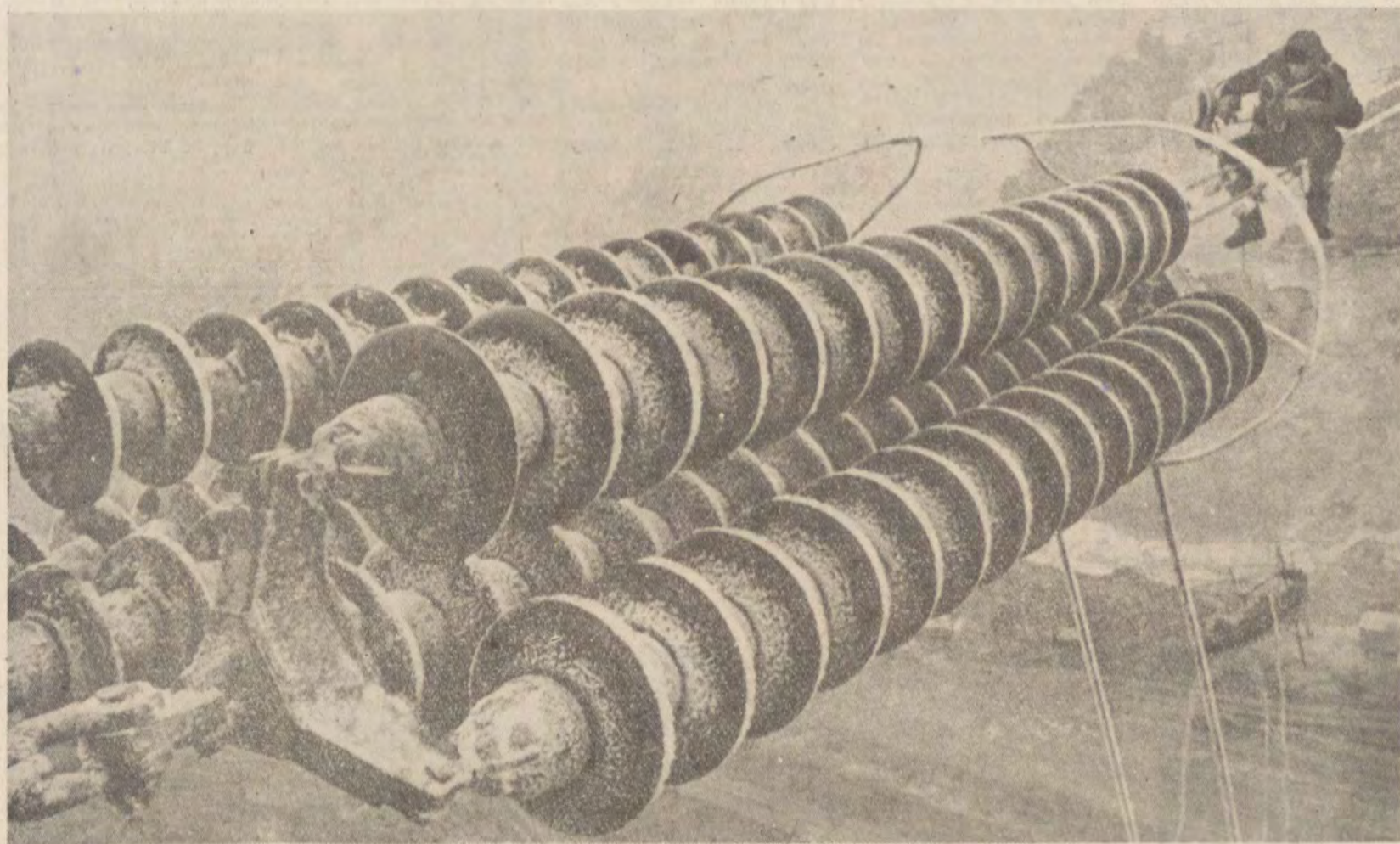
ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), TERESA WOJCIECHOWSKA.



WIELKI ATAK

KRZYSZTOF POGORZELEC



JURIJ KOROLOW. Na budowie Wołgogradzkiej Elektrowni Wodnej

Na razie strony gromadzą argumenty. Strony to — z jednej — praktycy, a z drugiej — naukowcy czyli teoria. Sztab główny mieści się w moskiewskiej redakcji „Ekonomicznej Gazety”. Areną starcia, jak przystało na czas pokojowej koegzystencji, która w gruncie rzeczy łączy obie strony, będzie sala konferencyjna.

Sprawa jest poważna: praktycy przedstawiają naukowcom swoje opinie o dotychczas wprowadzonych zmianach w metodach zarządzania przedsiębiorstwami radzieckimi.

Reforma w systemie gospodarczym, zapoczątkowana w roku 1966, objęła w pierwszym etapie około 750 przedsiębiorstw, ale na początku 1967 roku, w oparciu o nowe zasady, pracowało już w ZSRR ponad 2500 zakładów wytwarzających więcej, jak jedną piątą część całej produkcji radzieckiego przemysłu. To już bardzo wiele, tym bardziej, jeżeli się zważy, iż reformą systemu gospodarowania i zarządzania objęto nie tylko pojedyncze zakłady, lecz całe gałęzie wytwarzania — np. przemysł precyzyjny, radiowy i elektroniczny. Warto chyba w tym miejscu przypomnieć, jakie to zmiany wprowadzono tytułem

eksperymentu do wybranych na próbę przedsiębiorstw.

Otóż — w odróżnieniu od pozostałych — wyniki pracy zakładów objętych eksperymentem nie są oceniane według wykonania tzw. produkcji globalnej, lecz faktycznie zrealizowanej. Jest to prawdziwa rewolucja zmuszająca owe przedsiębiorstwa do bardziej realistycznego planowania, a przede wszystkim liczenia się z potrzebami rynku radzieckiego, gdyż ocena wyników eksperymentującego zakładu zależy wprost od sprzedaży wyrobów produkowanych przez to przedsiębiorstwo. Z innych zasad, które tytułem próby wprowadzono w wybranych przedsiębiorstwach, należy przypomnieć takie zmiany, jak oprocentowanie środków inwestycyjnych, co m. in. zmusza przedsiębiorstwa do bardziej gospodarnego wydatkowania środków społecznych, zastosowanie bodźców materialnego zainteresowania w postaci premii oraz funduszu zakładowego, przyznanie prawa do zawierania bezpośrednich umów w sprawie dostaw i zbytu wytworzonych wyrobów.

Gdy byłem w Związku Radzieckim koła ekono-

mistów szły się do wielkiej dyskusji na temat wyników, które przyniosła wspomniana reforma w przedsiębiorstwach eksperymentujących. „Ekonomicznej Gazecie” publikowała wiele wypowiedzi świadczących o tym, że wprowadzone zmiany nie zadowolili jeszcze tak praktycy, jak i naukowcy, chociaż i te fragmentaryczne posunięcia przyniosły znaczne rezultaty. Tak np. szacuje się, że w porównaniu do przedsiębiorstwa pracujących według starych zasad, w zakładach eksperymentujących miały miejsce większe wzrosty wydajności prac od 4 do 5 proc., a ponadto wzrosła również o 30 proc. akumulacja, poprawiły się także wyniki, jak jakość i nowoczesność produkcji, a ponadto również załoga odniosła duże korzyści w postaci premii wypłacanych z ponadplanowego zysku. Bardzo ostrożnie szacuje się, iż w przedsiębiorstwach eksperymentujących zarobki robotników zwiększyły się o około 10 proc., natomiast personelu i kadry technicznej o blisko 25 proc.

Nie bądzmy jednak nadmiernymi optymistami. Rezultaty reformy są przede wszystkim ograniczone i sprowadzają się w gruncie

rzeczy do owych 2,5 tys. przedsiębiorstw, a ponadto już te posunięcia ujawniły, że nie chodzi tylko o zmianę systemu, ale o głęboką przeobrażenie sposobu myślenia nie tylko kadry kierowniczej, ale nawet całych załóg. Tak np. jasne jest, że wiele przedsiębiorstw nawet objętych eksperymentem niechętnie i nie w pełni wykorzystywało swoje dodatkowe uprawnienia, oczekając ciągle na dyrektywy „z góry” — tak jak było to przedtem, kiedy to najbliższy wskaźnik czy też produkcyjna dyrektywa zależały od decyzji ministerstwa, bądź też Wszechzwiązkowej Komisji Planowania Gospodarczego. Są również jeszcze inne zupełnie niespodziewane rezultaty i doświadczenia, jak choćby zbyt ostrożność i „gospodarność” niektórych dyrektorów. Skąd się np. brały takie niepomysłne zjawiska w pewnych zakładach, jak „oszczędzanie” na wydatkach przewidzianych na inwestycje, czy też na nowe maszyny.

W Związku Radzieckim dyskutuje się właśnie w tej chwili nad nowymi posunięciami, które zlikwidowałyby ujawnione trudności, które już tutaj wymieniliśmy, a także przynajmniej zgła-

nizowałyby jeszcze inne przeszkody w nowoczesnym funkcjonowaniu aparatu gospodarczego, m. in. takie, jak kłopoty mające miejsce w kontaktach między przedsiębiorstwami eksperymentującymi, a „normalnymi”, sprawy związane z postępowaniem technicznym, określeniem stanu zatrudnienia, stosunków między przedsiębiorstwem a skarbem państwa.

Alle to przecież tylko niektóre pytania. Prawdopodobnie odpowiedzi na wszystkie te pytania udzieli praktyka ze wszystkich republik ZSRR. W każdym bądź razie praktycy już dziś odgrają się naukowcom, że przeprowadzą wszechstronną krytykę niepełnych i niezbyt konsekwentnych — jak się tu i ówdzie słyszy — zmian. Chęć bowiem zdyskontować wszystkie korzyści, wypływające z unowocześnienia metod gospodarowania przemysłem w Związku Radzieckim.

Obserwując te dyskusje radzieckich ekonomistów i praktyków na temat zmian dotychczasowego modelu gospodarczego, warto w tym miejscu chyba zauważyć, że czerpią oni bogatą ręką z naszych polskich doświadczeń w dziedzinie sposobów

zarządzania gospodarką narodową. A poza tym nie bez satysfakcji chyba możemy również stwierdzić, że w wielu dziedzinach udoskonalenia metod planowania i gospodarowania, zarządzania gospodarką narodową, wyprzedziliśmy naszego radzieckiego sąsiada.

A na razie — rzecz ciekawa: daje się zauważyć powszechnie w Związku Radzieckim nie tylko zainteresowanie teoretycznymi zmianami modelu gospodarowania, czy też zarządzania gospodarką narodową, ale także praktyką ekonomicznej działalności. Podobno radzieckie wyższe uczelnie od lat nie notowały takiego napływu kandydatów na wydziały ekonomiczne.

To nie jest tylko sprawa jakiejś naglej mody wśród młodzieży radzieckiej na zawód ekonomisty. Np. w przedsiębiorstwach zaczyna się wiele dyskusować na temat roli służb ekonomicznych, pozycji księgowego, który przecież do tej pory był w przypadku przedsiębiorstw radzieckich strażnikiem liczb i przepisów, natomiast najmniej miał do czynienia z analizą posunięć ekonomicznych i produkcyjnych.

Mówi się, że właśnie funkcją służb ekonomicznych w każdym przedsiębiorstwie powinno być analizowanie tego, co się stało, by w przyszłości wyniki były jeszcze lepsze. A więc chodzi nie tylko o zamach na „resztę”. Także o wielkie przemiany psychologiczne, zmiany w sposobie myślenia kadry kierowniczej radzieckiej ekonomiki.

Pierwsze próby unowocześnienia metod kierowania radziecką gospodarką przyniosły już rezultaty, pozwoliły na ocenę i wybór dalszych poczyną. Na jednym z plenarijnych posiedzeń Komitetu Centralnego KPZR, na którym podjęto decyzję w sprawie usprawnienia zarządzania przemysłem, premier A. Kosygin zapowiedział:

— podjęcie szeregu nowych kroków zmierzających do podniesienia naukowego poziomu planowania gospodarczego;

— rozszerzenie samodzielności gospodarczej przedsiębiorstw oraz podniesienie ich roli jako podstawowej komórki ekonomicznej;

— umocnienie rozrachunku gospodarczego, zwiększenie bodźców ekonomicznych w produkcji przy pomocy takich środków, jak cena, zysk, premie i kredyty; — zdecydowane zwiększenie zainteresowania robotników i urzędników poprawą ogólnych rezultatów pracy przedsiębiorstw.



SKĄD TE TRADYCJE?

W jednej z ostatnich podróży znalazłem się w przymusowej

sytuacji. Piszę przymusowej, bowiem PKP serwuje nie od dziś permanentne różnice swoich pojazdów. To normalna — ktoś powie. Tak. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić, a przyzwyczajanie stało się ponoc drugą naturą człowieka. Jesteśmy zatem autentyczni, normalni, po prostu zwykli obywatele jednego z europejskich krajów. Za pracowni, zabiegami, zaferowaniami wielkimi sprawami, którymi żyje ten kraj.

Jechałem expressem zacytu- jąc się po raz drugi w „Mewach” Gosczyńskiego (doskonała lektura w podróży), gdy niespodziewanie hamowanie w „szczyrim polu” zaniepokoiło moich współpasażerów. Wyszłem z przedziału i popędziłem za biegającymi korytarzem konduktorką oraz kierownikiem pociągu — notabene uprzejmie udzielających informacji o po-

łączeniach oczekujących pasaże- rów na stacji końcowej.

Okazało się, że pociąg został zatrzymany przez samych pasa- żerów. Nie była to forma ich protestu na dziesięć minutowe opóźnienie zarobione na stukilometrowym odcinku z Warszawy do Kuluszek. Nie była też demonstracja. Po prostu, w czasie przymusowego postępu pod semaforem, wiały na bufo- ry pijany w sztok pracownik PKP i trzeźwił przez kilka mi- nut na świeżym powietrzu pod- czas biegu pociągu. Kiedy wre- szcie otrzeźwiał, zrozumiał, że grozi mu utrata życia. Miał du- żo szczęścia — jego wołanie o pomoc usłyszeli pasażerowie.

W tym momencie zastanowi- łem się. Zmusił mnie do tego widok okrwawionej twarzy tego człowieka, jego tłumaczenie, że bardzo chciał zdążyć na służbę do Kuluszek i poluśmie- chy niektórych gapiów. To

normalna — znowu ktoś powie. Tak. I do tego z wolna zaczynamy się przyzwyczajać.

Dellikwenta dowiedziono (już w korytarzu) do stacji docelo- wej. Oddano tam w odpowied- nie chybą ręce, które zadecy- dowały o karze, o dalszym je- go zatrudnieniu. Dowiedziono go już z dwudziestominutowym opóźnieniem (należy doliczyć dziesięć minut akcji ratunko- wej). A co na to pasażerowie? Ci, pogodzili się z dalszym opóźnieniem. Pięć minut pona- rzekali na koleję i zapomnieli o wszystkim. Przecież to takie normalne, że sobie wypili!

Dwa lata temu byłem w Izbie Wyrzeźwien, Służbowo. Ogła- dalem ludzi, którzy swojego tam pobytu nie traktowali po- ważnie. Nie była to dla nich kara. Ot, tak sobie, przespali- li się w „hotelu” i dobra. Jesz- cze wycyszczono im obuwie, ubranie. A co na to opinia spo-

łeczeństwa, znajomych? Będzie

patrzeć pobłażliwie, jak zawsze. Ani interwencje milicji, po- byt w Izbach Wyrzeźwien, ani akcje propagandowe Społeczne- go Komitetu Antyalkoholowego nie oduczą społeczeństwa od nadmiernego picia, utartych na ten problem pojęć. Bo problem jest jeden! Nie umiemy pić! A alkohol jest i będzie dozwolony. Nikt chyba nie my- śli, że nauczymy wszystkich ludzi abstynencji.

Trzeba wiedzieć kiedy, ile i gdzie wypić. Kto ma nas tego nauczyć? Kto, jeśli nasi ojco- wie podpatrzyli u dziadków jak w ciągu godziny wlewać do ust co najmniej pół litra? I ro- bić już to samo pokolenie mło- dzieży urodzonej w pierwszych latach pięćdziesiątych, robi to samo co rodzice?

Ostatnio, zgodnie z panującą wszędzie modą, wprowadza się ponoc w szkołach średnich po-

gadanki z zakresu wiedzy sek- sualnej. A może gdyby wpro- wadzono w pierwszych klasach liceów, techników i zasadni- czych szkół zawodowych po- dobną pogadankę o kulturze pi- cia alkoholu, kulturze korysta- nia z uciech Bachusa, nie do- chodziłoby potem do sytuacji opisanych wyżej? W każdym bądź razie nauczyliby się mło- dzież tej kultury. Z myślą o przyszłości warto się nad tym poważnie zastanowić.

Owego kolejarza zwolniono już pewnie z pracy. Na jego miejsce zatrudni się kogoś in- nego. Nastąpi przymusowa zmiana i dalej będzie trwać to samo co jest. Normalna kolej rzeczy. Mnie niepokoi w tym jedno. Jak długo jeszcze? Jak długo będzie rzeczy kolej tak bieć...

Wojciech Cieślak
(Łódź, Sterlinga 15 m. 7)

Dalszy ciąg ze str. 1

niewinnych przemyśleń — trochę węgla zepehnietego z wagonów na tory, parę desek, kilka worów kartofli... Ale i tak wartość zagrabionych, objętych rejestrem przedmiotów oscyluje w granicach MILIONA.

Jedną z pierwszych pewnych dat jest dzień siódmego października siedemdziesiątego roku, kiedy to o godzinie dwudziestej pierwszej jedenaście został zatrzymany przez semafor w Sadowcu pociąg towarowy nr 45787 relacji Budafok Hatos — Bydgoszcz Główna. W składzie, który czekał na to-

skrzynie wina do lasu. Tam, na piaszczystej drodze w gąszczu drzew, cierpliwie czekał na załadunek towaru konny wóz Zjawionego. Trudno ustalić, o czym rozmawiali w drodze powrotnej obaj przywódcy klanów. Tak czy owak jeszcze tej samej nocy odbył się w zagrodzie Antoniego podział zdobyczy. Włażlak dostał tylko jedenaście kartonów, Zjawiony — czternaście, należała mu się bowiem, jak twierdził, premia przewozowa.

W parę dni później wkroczył na arenę syn Zjawionego, Stanisław, kradnąc z pociągu nr 45291 relacji Łodygowice — Bydgoszcz dwa „kanapotapeczany”.

Na dobre jednak interes rozkręcił się dopiero w sie-

lózka turystyczne — dwie beczki cynkowane — pięć wiązek widel po dziesięć sztuk każda — dwanaście kartonów piwa „Żywiec” po dwadzieścia cztery sztuki — paleniska (he, he!) kowalskie — cztery rowery „Karat” — osiem lamp nocnych — półtorej tony tureckiej fasoli — dwa rowery „Ambasador” — osiemdziesiąt pięć światełek odbłaskowych — sto kilogramów pomidorów wytaszczonej z wagonu-chłodni — dwa motory „Jawa 50” z transportu czeskiego — dziesięć butelek wina — sto sześćdziesiąt kilogramów smalcu — trzy pompy podnośnikowe „Urus C-328” — osiem skrzyń brzoskwiń bułgarskich o wadze czterystu kilogramów

pociągu i przejmowali od busujących w środku kamratów stukilowe wory fasoli tureckiej, spychając je na skarpe toru, co powodowało rozrzut łupu na dość znacznej przestrzeni. Trzeba było zbierać „to” do kupy, a potem załadować na wóz Antoniego Zjawionego, przewieźć do obejścia Czesława Włażlaka i podzielić, ważąc przy tym na złodziejskiej szali zasługi poszczególnych rabusiów — tona dla Zjawionych, pół tony dla Włażlaka i trochę ochlapów dla Siedlis, który przewiózł towar do domu Józefa Liłpińskiego i sprzedał za pięć tysięcy złotych.

Na magistrali elektrycznej Śląsk — Porty, gang z Marchewek stosował podobny

z których jedno podarował swojemu ojcu. Ta „miłość” synów dla rodziców, i na odwrót, jest w tej historii żelazną prawidłowością. We wszystkich czterech klanach obowiązywał szacunek dla starszych i ostra wewnętrzna dyscyplina. Jednakże w stosunkach pomiędzy poszczególnymi rodzinami nie było nadmiernej uczciwości, co znalazło wyraz nie tylko w opisanych już dysproporcjach przy podziale łupu, nie tylko we wzajemnych nieufnościach, przemilczeniach, zwodach, próbach działania na własną rękę w ramach działań wspólnych: nieraz pokrzywdzony czuł się Włażlak, nieraz Siedlis, któremu kiedyś, za czatowania podczas napadu na tak

— O, panie, kupa lat... Dialog ten dał mi wiele do myślenia. Zrozumiałem, że tła do opisanych powyżej wypadków trzeba będzie szukać w przeszłości.

Przyjrzałem się bacznie dróżnikowi, który, być może, wcale nie jest dróżnikiem. Krążył po lesie na scentrowanym rowerku z przytrozoną do kierownicy torbą na grzyby. Jego wysmotruchany, kolejarzski uniform przeświecał dziurami. Miał ewidentne braki w uzębieniu, przez co jego mowa, aczkolwiek pozbawiona chłopskich dialektizmów, brzmiała dość ślisko, niewyraźnie.

Staliśmy przy nasypie kolejowym, niedaleko Marchewek, do których niebawem

KOMU RADOŚĆ Z OSPAŁYCH POCIĄGÓW

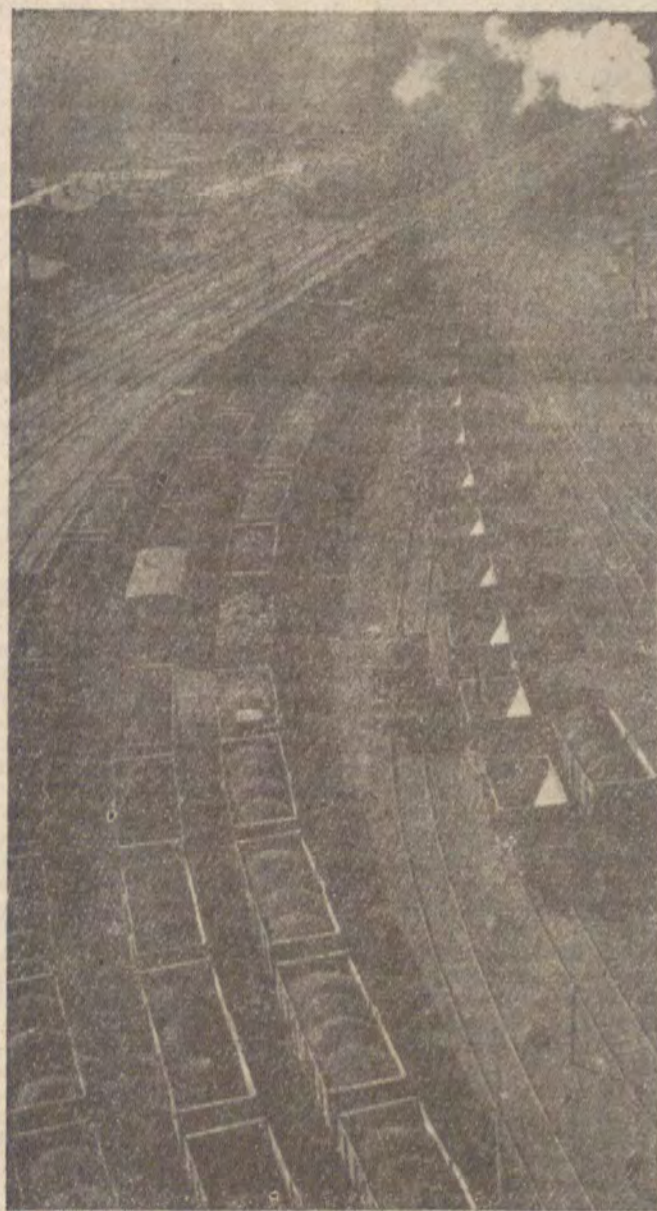


Foto — CAF

rach niecałe pięć minut, znajdował się wagon nr 1346326-4. Senior rodu, Antoni Zjawiony, człowiek o „biblijnym nazwisku” i gestach Don Kichota, rzucił się na ten wagon z obcęgami w ręku, i mimo krótkiego, ulotnego czasu, zdolał go rozpruć, zdzierając plomby i rozsuwając ciężkie drzwi. Na pobocze kamiennego nasypu zleciał wówczas dwadzieścia pięć kartonów wyborowego „Tokaju” po dwanaście butelek każdy, co wedle cen zbytu ma wartość przekraczającą dwadzieścia tysięcy złotych. Łup odbierał osobiście senior innego rodu, Czesław Włażlak, holując

demdziesiątym pierwszym roku. Począwszy od lutego, a skończywszy na wrześniu, kiedy to w połowie miesiąca złodzieje trafili pod klucz, kolejowy gang z Marchewek dokonał kilkudziesięciu zuchwałych włamań, poczynając sobie coraz bezczelniej. Nie sposób opisać wszystkich tych skoków. Dziewiętnastoletni, szalejący Staś ma ich na koncie dwadzieścia siedem, a jego zyski zamykają się sumą dwustu dziesięciu tysięcy. Lista imponująca: cztery wory żyta — sześć beł węgla — dwa stółki pod radio — cztery paki kleju stolarskiego — cztery

— dwadzieścia jeden kartonów cukru o wadze pięćset pięćdziesięciu kilogramów — trzy motorowery „Komar” — osiemset pięć żarówek samochodowych do Flata — dwieście (a jakże!) butelek lekarstw — dwa kilogramy nici w szpulach — trzy beczki farby o wadze dwustu kilogramów — oraz kilka innych drobniaków przeleciało w ciągu tych SIEDMIU MIESIĘCY przez ręce Stanisława Zjawionego.

Niewiele gorsze osiągnięcia miał Siedlis i Włażlak, którzy zresztą ze Stanisławem, a także innymi, wymienionymi już ludźmi, ściśle współpracowali, łupiąc pociągi bez najmniejszego wyboru, w myśl powiedzenia: **wszystko się przyda**. Niektóre pozycje mogą człowieka rozśmieszyć, biorąc pod uwagę specyfikę chłopskiej egzystencji...

Dwa kartony ryb mrożonych. Trzy kartony szprotek w oleju.

Czterdzieści osiem butelek z przyprawami kuchennymi. Znaczna ilość zup ogonowych.

Krzesła tapicerskie. Buty młodzieżowe. Kozaczki. Wózki ręczne. Beczka karbidu. Bujane fotele. Gwoździe budowlane.

Co będzie w następnym transporcie? Jaki towar ześle chłopom dobry los?

Pracowali dniami i nocami, czyhając przy torach na zaspane pociągi. Wciągała ich ta zabawa, podniecała, choć stosowali w zasadzie wciąż te same prymitywne metody — tam, na krętej, parowej, podążającej na Białą Pajęczaniską linię, którą towarowe składki pięły się zakosami pod górę, przykręcali hamulce i zrywali plomby obcęgami, (z czasem zaopatrzili się podobno we własny plombownik, tak, że spłodowane wagony przyjeżdżały do stacji przeznaczenia w stanie pozornie nienaruszonym), a następnie, po rozsunięciu drzwi przy pomocy kluczy płaskich, rozbijali wielkie zbrojne skrzynie młotami i siekierami, albo też — kiedy nie było takiej potrzeby — pracowali tak, jak w lipcu siedemdziesiątego pierwszego, kiedy to do rozprutego już wagonu wskoczył Czesław Włażlak z Henrykiem Siedlisem, a Stanisław Zjawiony i jego brat Józef gibal się na stopniach wolno toczącego się

repertuar uderzeń — obcęg, kluczy, noży, młotów, widły, siekiery — z tym że w o-bliczu rozpędzonych, sunących „po prostej” pociągów, zaistniała konieczność pozyskania dla sprawy zaufanego kolejarza, który zechciałby te smoki zatrzymać.

Znalazł się taki...

Marian Gruszecki — dwadzieścia pięć lat, żonaty, dzieciaty, pochodzenie — podobnie jak, we wszystkich innych wypadkach — chłopskie, wykształcenie niepełne podstawowe, nie karany, zatrudniony na stacji Chorzów — Siemkowice. Często dyżurował na wspomnianych już posterunkach odstępowych, kontrolnych, nazywanych w gwarze „blokami”. Jego udział w napadach wyglądał niewinnie, a udział w zyskach (kilka butelek piwa albo wina, wór kartofli, trochę grosza) śmiesznie...

Oto na przykład w lutym siedemdziesiątego pierwszego udał się do Trębaczewa, w pobliżu torów, Henryk Siedlis w towarzystwie Stanisława Zjawionego. Czekal tam, na nich Marian Kalwak, wraz z którym Zjawiony złożył urzędującemu w „bloku” Gruszeckiemu króciutką wizytę. Kiedy wyszli, nadjeżdżający pociąg grzecznie się zatrzymał. Podobne sceny powtarzały się wielokrotnie, także na posterunku w Sadowcu, o ile tylko „służbowal” tam Gruszecki... zamykał semafor i nie opuszczając posterunku, czekał cierpliwie, aż banda ściągnie na pobocza torów to, co akurat wpadnie jej w ręce i odpali mu za niewielką przeciwną fatygę — co to jest przymknąć semafor? — drobna część łupu.

W jednej z gazet przeczytalem, że chciwość charakteryzująca kolejowych rabusiów, była przyczyną wielu ostrych zatargów i zwad przy podziale zdobyczy oraz, że nieporozumienia owe rozwiązywano w trybie okrutnym i brutalnym, przywołującym na myśl postępowanie sycylijskich mafii, czy też amerykańskich gangsterów.

Nie sądzę, aby w pełni oddawało to prawdę o panującej wśród złodziei atmosferze, chociaż niewątpliwie można doszukać się w owym, uogólniającym stwierdzeniu, pewnych inspiracji i tropów...

Gruszecki dostał kiedyś za postawienie semaforu dwa zrabowane łózka turystyczne,

zwanym „zeksie” odpalono, zamiast części zrabowanych worów, nędzne sto złotych, nie doceniając znaczenia czynionych przez Siedlis, wnikliwych obserwacji penetrowanego terenu; nieraz powody do urazy miał działający z dystansu, mieszkający poza Marchewkami Marian Kalwak, któremu przecież akt oskarżenia przypisuje czynny udział w dwudziestu włamaniach... Dochodziło zatem parokrotnie do awantur, a kiedy te nie były w stanie naprawić w kooperującej ze sobą, czterorodzinnej, federacyjnej bandzie jaskrawych niesprawiedliwości, niektórzy jej członkowie wyrównywali sobie poniesione straty w innym trybie...

I to właśnie było przyczyną kradzieży wtórnych.

Dla przykładu: tuż przed wpadką, dwudziestego dziewiątego sierpnia siedemdziesiątego pierwszego roku, biorąc przykład z ojca, wuj i stryj — piętnastoletni Tadeusz Włażlak wszedł w okazjonalny układ z dziewiętnastoletnim Henrykiem Siedlisem. Udało im się wówczas odciążyć jeden z rozprutych znaną metodą wagonów z ogromnej beli owczej wełny, której wartość oszacowano później na piętnaście tysięcy złotych. Zdobycz została zagrzebana przez rabusiów w sterle słomy, co wywalał jednak też okazjonalnie pracujący ze sobą: osiemnastoletni Józef Zjawiony i dwukrotnie od niego starszy Marian Kalwak. Nie trzeba dodawać, że łup wszedł niebawem w ich posiadanie, co wyjaśniło się jednak podczas dochodzenia.

Krwawe dintojry, owszem, miały w Marchewkach miejsce, ale z nieco innych powodów i nieco wcześniej. Klan Zjawionych skopał kiedyś do nieprzytomności jednego ze spokojnych, uczciwych mieszkańców wsi. Podobno z chwilą, kiedy syn tego skopanego, długo liżąc się z ran człowieka, osiągnął wiek męski, część winowajców z obawy przed odwetem przeniosła się w inne rejony kraju.

Historię tę opowiedział mi pewien dróżnik.

— Za co go bili? — pytałem.

— Wtrącał się do nie swoich spraw.

— Jak to sprawy?

— Złodziejskie.

— Kiedy to, mniej więcej, było?

miałem wtargnąć.

— Często przejeżdżają tędy pociągi?

Przytaknął:

— Co dziesięć minut.

— Jest w czym wybierać?

— Nie trzeba wcale wybierać.

— Jak pan sądzi: czy poza tymi, co kradli, no i oczywiście ich rodzinami, wiedział ktoś w okolicy o napadach?

— No, pewnie. Przecież nawet gazety się dziwiły, że nikt ich wcześniej nie wydal na milicję.

Przypomniałem sobie cytaty z prasy:

„Część łupu udało się sprzedać na okolicznych targach (na przykład ponad dwie tony fasoli i znaczną część wełny), pozostałe natomiast rzeczy złodzieje pounieszczali w swoich mieszkaniach, pochowali w stodołach i poukrywali w pobliskich lasach. Dzięki temu część skradzionych przedmiotów odzyskano”.

— Napotkał pan kiedyś na jakieś butelki po winie, albo piwie? Słyszałem, że sporo się tego walało po rowach i polach...

— Butelki są wszędzie...

— Ale takie, co zwracają uwagę, wie pan, „tokaj”, czy eksportowy „Żywiec” w większej ilości...

— Nic takiego nie widziałem.

— A firmowe opakowania? Wory, torby ze stemplami?

— Nie powiem.

— Przepraszam, mieszka pan w Marchewkach?

— Teraz już nie.

— Więc co pan tu robi?

— A pan?

Był wyraźnie urażony, przy tym jednak zachowywał się tak, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, albo jakby nosił na sercu ciężar wielkiej tajemnicy, której wyjawienie było aktualnie niemożliwe.

— Gniewa się pan? — zapytałem.

— Nie.

— Ale nie chce pan ze mną rozmawiać?

— No, bo o czym?

Wsiadł na rower i nie mówiąc „do widzenia”, odjechał. Ten dróżnik, nie dróżnik, chłop — nie chłop, miał mi wręczyć w dwie godziny później klucz do kolejowej afery.

(Dokończenie w następnym numerze).

ANDRZEJ MAKOWIECKI



JAZZ

Dwu jest ludzi w Polsce, którzy o jazzie wiedzą pono wszystko. Roman Waschko i Mateusz Świąciecki. Właśnie ten drugi wydał ostatnio książkę „Jazz-rytm XX wieku”. Nie znajdziemy w niej, rzecz prosta, aktualności,

gieldowych notowań i list przebojów. Świąciecki napisał bowiem książkę, w której wraca do źródeł owego „rytmu XX wieku”, przypomina prekursorów i przebrzmiałe sławy, systematyzuje style i mody muzyczne.

Jest to więc przystępnie i zajmująco napisana historia muzyki, która ma przeciwników i zwolenników, ale która nikogo nie pozostawia obojętnym. Świąciecki nie napisał książki o dniu dzisiejszym jazzu, bo takiej książki napisać się nie da. Jest to bowiem muzyka, w której zmiany zaskakują samych... jazzmanów. Poglądy na jazz i jego teorię, zmieniają się niezwykle szybko — razem z samą muzyką.

Mamy więc na blisko dwustu stronach książki Świącieckiego przede wszystkim informacje o tym muzycznym fenomenie XX wieku. Mamy historię jego przeobrażeń, historii jego genezy, opisy inwazji tej muzyki i krzywań, kiedy zdawało się, że jazz przemienia jak wiele krótkotrwałych mód. A jednak nie — jednak odradzał się zawsze, kiedy zjawiała się jakaś wybitna indywidualność. Po Olivierze Kingu, Armstrongu i Ellingtonie przyszli w latach trzydziestych i czterdziestych Benny Goodman i Glenn Miller, Ella Fitzgerald i Billie Holiday.

Notuje też Świąciecki historię polskiego jazzu. Mało kto pewno pamięta, że powojenna historia polskiego jazzu zaczęła się w Łodzi, gdzie w PWSF powstał zespół „Melomani” Jerzego Matuszkiewicza.

Zwłaszcza ciekawie napisana książka Mateusza Świącieckiego nie jest jedyną publikacją na ten temat. Totalnie za zakończenie autor lojalnie zaznacza, w jakich książkach można szukać informacji o rytmie XX wieku.

Mateusz Świąciecki „Jazz-rytm XX wieku”, PZWS 1972, cena 25 zł.

POWIEŚĆ O WOJNIE

Kurt Vonnegut jest w Ameryce znanym pisarzem, choć popularność ja była zaskoczeniem dla oficjalnej krytyki literackiej, która przez wiele lat nie dostrzegała jego twórczości. Właściwie wszedł on do literatury, jak gdyby kuchennymi schodami — bowiem zaczynał od twórczości typu „science-fiction”.

Po okresie fantastyki naukowej wszedł jednak Vonnegut na twardy grunt współczesnej rzeczywistości i rychło stał się znanym pisarzem — a nawet, jak twierdzi Graham Greene, najwybitniejszym pisarzem amerykańskim. Niedawno PIW wydał jego „Kocią kołyskę” — przewrotną, dowcipną i trochę zwariowaną książkę, w której autor „gra na nosie sami wiedzie komu”.

Obecnie to samo wydawnictwo opublikowało w serii „Proza światowa” nową powieść Vonneguta pt. „Rzeźnia numer pięć”. Książka nosi podtytuł „Krucjata dziesięć czyli obywatelski taniec ze śmiercią”. Autor jako amerykański zwiadowca w czasie ostatniej wojny (nawiasem mówiąc Vonnegut jest z pochodzenia Niemcem), dostał się do niewoli i był jeńcem w obozie w Dreźnie. Przeżył bombardowanie tego miasta przez lotnictwo alianckie. „Rzeźnia numer pięć” jest więc powieścią osnutą na własnych przeżyciach. Nie wystarczy jednak powiedzieć, że jest to powieść antywojenna. Powieść to bowiem bardzo niekonwencjonalna, pełna kpiny i żartu — a jednak jej wymowa jest wstrząsająca. Może rzeczywiste potrzeby jest ów ponad dwudziestoletni dystans, perspektywa, z której napisać można głęboką książkę o wojnie? Z tego dystansu Vonnegutowi udało się napisać powieść pełną tragizmu, bez popadania w patos.

Kurt Vonnegut „Rzeźnia numer pięć”, PIW 1972, cena 20 zł.

PRUSZYŃSKI

W „złotej serii” PIW notujemy kolejny portret wybitnego pisarza polskiego. Tym razem jest to tomik poświęcony Ksaweremu Pruszyńskiemu. Gdyby żył, gdyby nie rozbił się w katastrofie gdzieś koło Düsseldorfu, należałby do pisarzy starszego pokolenia. Dziś należy do historii literatury, choć pierwszy artykuł wydrukował w roku 1931, a zmarł w 1950. Jego biografia literacka obejmuje zatem niespełna dwadzieścia lat.

W ciągu tych dwudziestu lat — mieszczących w sobie pięć lat wojny — był Pruszyński reporterem i publicystą, aby u kresu życia dać polskiej literaturze słynne opowieści. Utwory, będące właściwie literaturą faktu, a jednocześnie zawierające ogromny ładunek artystyczny i uogólnienia. Pisał w imieniu swoim i w imieniu historii. Pisał o swoich tularczych wędrówkach po świecie, ale pisał w imieniu tysięcy Polaków, których losy po świecie rozrzucał.

Ktoś go nazwał polskim Kischem. Fumne to miano, ale Pruszyński nie poprzestął na notowaniu faktów. U kresu swojej pisarskiej biografii reporterskiej i publicystycznej doświadczenia zamknął w kształt literacki wysokiej próby.

Żył w czasach burzliwych i tytuły jego książek wyznaczają etapy tego czasu. Pierwsza książka o Gdańsku przyznosi na siedem lat przed wrześniem wizję wojny. Lata kryzysu w Polsce dokumentuje „Podróż po Polsce”, wojnę w Hiszpanii — reportażami z młodej republiki. Potem „Droga wiodła przez Narwik”, „Opowieści szkockie”... cykl artykułów „Wobec Rosji”, kiedy na Wschodzie powstała Armia Polska. Był obecny jako pisarz i publicysta w tym czasie przeżyty razem z Polską. Zginął w 1950 roku przed nowym zakretem polskiej rzeczywistości.

J. W.

Zygmunt Ziadek „Ksawery Pruszyński”, PIW 1972, cena 20 zł.

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Iskry”

- Wasyli Aksionow — „Koledzy” wyd. III, str. 266, cena zł. 14.
Olgierd Budreweicz — „Karnawał na wulkanie”, str. 264, cena zł. 24.
Aleksander Grin — „Szkarałatne żagle”, wyd. IV, str. 233, cena zł. 9.
Jan Kamiński — „Grzechność na co dzień”, wyd. II, str. 257, cena zł. 12.
Hanna Krall — „Na wschód od Arbatu”, str. 238, cena zł. 18.
Jerzy Lovell — „Jak żyć?”, str. 269, cena zł. 15.
Anatolij Rybakow — „Krosz szuka bohatera”, str. 227, cena zł. 14.
Siergiej Sniegow — „Dalekie szlaki”, str. 539, cena zł. 25.
Ludwika Woźnicka — „Wdowa i lokator”, str. 219, cena zł. 16.

Dalszy ciąg ze str. 1

którym mieści się Biuro gromadzkie, wraz z Urzędem Stanu Cywilnego. Budynek został wybudowany wysiłkiem tutejszego społeczeństwa w 1928—1929 roku, dla potrzeb administracji terenowej. Usytuowanie tego budynku po środku terenu GRN jest dogodne dla wszystkich Sołectw, na dogodnych trasach przejazdu. Na tutejszym terenie znajduje się pion handlu GS z nowoczesnymi magazynami, bazą o wartości około 8 mln złotych, która jest wystarczającą dla wymogów handlu i społeczeństwa. Jest też kasa SOP, Urząd Pocztowy, Zlewnia mleka, młyn gospodarczy, ośrodek zdrowia, szkoła 8-klasowa, Nowoczesny Dom Strażaka wraz z Remizą, w której mieści się Klub-Kawiarnia, Nowoczesna Agronomówka, Stacja Pomp wraz z wodociągami. Ponadto na tutejszym terenie znajdują się dwa zakłady ceramiczne: Cegielnia „Rossoszyca” i Cegielnia „Nowe Miedze”. Każdy z tych zakładów zatrudnia około 100 osób. Znajdują się też dwa zakłady zamknięte oraz nadleśnictwo i

gromady Rossoszyca z obszarem ukształtowania Władzy terenowej po 1918 roku, który trwał do 1955 roku oraz przyłączenie sołectw: Reduchów (GRN — Wielka Wieś), Czatraki Zborowskie (GRN — Korczew), miejscowości Kanionczyk i Ruda (GRN — Woźniki), odpowiadające warunkom uterenowienia jak również klasom gleby i związane z zaopatrzeniem rolnictwa i zbytem płodów rolnych na tym terenie”.

Pismo to dowodzi, że nie tylko książki trafiły pod gromadzką strzechę, dyplomacja również. Zaczyna się ono bowiem próbą o wyjaśnienie wątpliwości, a kończy postulatem o przyłączenie ościennych sołectw. Można by oczywiście przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego, lecz wtedy uproszczilibyśmy i zubożyli obraz naszej rzeczywistości. Okazuje się tymczasem, że reforma nie jest bezbolesnym zabiegami urzędowym, wprost przeciwnie, uruchomiła cały mechanizm protekcji i nacisków, ujawniła ambiwalencję postaw, spowodowała także osobiste dramaty.

Dotychczasowy przewodniczący Prezydium GRN w Rossoszyce, WŁADYSŁAW STELMASZEK, 50-letni

na rentę i trudno mnie chyba posadzić, że kieruję się prywatnym interesem, gdy twierdzę, że to bardzo źle, iż będziemy teraz podlegać Władze nadzórnej oświadczając, że posiadamy za małą liczbę ludności, jak na wymagania nowej gminy. Nam chodzi przecież tylko o to, żeby złączyć to, co kiedyś zabrano. A zabierano tak po kolei, najpierw wioski — Glinno, Włyn i inne, potem GS, cztery lata temu zaś przeniesiono również posterunek MO, a teraz na zakończenie likwiduje się gromadzką radę. To nie jest w porządku”.

Sekretarz POP, KAZIMIERZ BANACH:

— „Jak już tak musi być, to zamiast do Warty, niech nas choć przyłączą do gminy Sieradz. Może to i o te dwa kilometry dalej, ale co powiat to powiat”.

Pierwszy Sekretarz Komitetu Gromadzkiego, ZDZISŁAW SOBCZAK:

— „Mając na uwadze miejscową opinię społeczną i interes społeczny tutejszych mieszkańców, jestem za pozostawieniem gminy w Rossoszyce. Z uwagi choćby nawet na tradycje, jakie ta gromadzka rada posiada. Dwukrotnie na zebraniach Komitetu Gromadzkiego członkowie partii wypowiedzieli się za pozostawieniem gminy tu, na miejscu”.

jest to teren za mały, że ludzie tam nie pracują, lub zbyt mało zaangażowani. Chodzi o to, że gromada liczy za mało mieszkańców, niepełne trzy tysiące, gdy tymczasem pozostałe mikroregiony liczą sobie od 8 do 10 tysięcy mieszkańców. Jeśli bowiem te nowe gminy mają być całkowicie samodzielne, muszą spełniać odpowiednie warunki demograficzne. W Rossoszyce proponują przyłączenie do nich innych sołectw, ale nie pytają, czy ludność tych sołectw kwapi się należeć do ich gminy. Demokracja nie może być jednokierunkowa. Władza w swych decyzjach nie może przedkładać interesu indywidualnego lub grupowego, nad szerszy interes społeczny. Aktualnie zaś w szeroko pojętym interesie społecznym leży likwidacja małych i słabych gromad i utworzenie w to miejsce dużych, silnych, dynamicznych i operatywnych jednostek administracyjnych.

Z drugiej strony zdaje sobie doskonale sprawę, że jest trudno przekonać kogoś, kto występuje z punktu widzenia interesów swej gromady. Dlatego też nikt nie posadza przedstawicieli tamtejszych władz gromadzkich, że kierują się pobudkami egoistycznymi czy prywatnymi. Istnieje całkiem zrozumiała niepewność co do losów byłych gromad i oni

NIE BĘDZIE GMINY W ROSSOSZYCY?

dwie leśniczówki.

W wyniku podziału administracyjnego gromad w 1955 roku z obszaru Gromadzkiej Rady Narodowej Rossoszyca utworzona została nowa GRN — Włyn, z sołectw byłej naszej gromady, tj. Glinnej, Dzierżazni, Włynia i Kanionczaka, które były ściśle związane z tutejszą Radą Gromadzką uterenowieniem i posiadaniem klasą ziemi od 1900 roku.

Historia działalności sięga lat sprzed I wojny światowej. W 1914 roku tu bowiem w Rossoszyce byli na stałe strażnicy Rosji carskiej, monopol i inne,

mężczyzna w pełni sił, wskutek podniesienia barierki wymagał będzie musiał opuścić swe stanowisko. Co on sam na ten temat sądzi?

„Nie mam pretensji do pracy w nowej gminie, ale mam pretensję, że likwiduje się tu u nas siedzibę władzy terenowej. Uważam, że jest to dla nas krzywdzące. Cieszyliśmy się przecież, jako władza gromadzka, dobrą opinią we władzach powiatowych. Chwalono nas za czynny społeczny i za sukcesy terenowego oddziału samoobrony i za działalność ZMW oraz wiele innych rzeczy. Mnie nie chodzi o własny interes, lecz o interes miejscowego społeczeństwa. Ja wrócić tam,

Pierwszy Sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Sieradzu — ZYGMUNT ROZNIATA:

— „Wiadomości o zamiarze reformy w administracji docierają do ludzi już od czasu VI Zjazdu PZPR. Trzeba powiedzieć, że ogólnie sytuacja jest korzystna, sama idea reformy znajduje powszechne poparcie, niemniej mamy tu do czynienia także z pewnymi konfliktami. Są rejon, gdzie nie występuje sprzeciw co do samej reformy, lecz sprzeciw co do włączenia wioski do tej lub innej jednostki administracyjnej. Na przykład wieś Sędzice zamierzano przyłączyć do Warty. Tymczasem ludność opowiedziała się za Wróble-

to po prostu wyrażają. Mam nadzieję, że w trakcie rozmów i dyskusji sprawy te sobie do końca wyjaśnimy”.

Sekretarz Prezydium WRN, HENRYK GOCZEK, w odpowiedzi na list soltyśców:

„Ponieważ obecnie (było to przed czterema miesiącami — K. B.) nie zostały jeszcze podjęte decyzje określające ostateczny zakres zmian w podziale administracyjnym, Prezydium WRN nie jest w stanie wyjaśnić, czy w toku opracowywania projektów zmian przewidywane będzie połączenie gromady Rossoszyca z którąś z gro-



a także w czasie I wojny światowej żandarmeria keiserowska. Po wyzwoleniu się Państwa Polskiego w 1918 roku zawiązała się Władza terenowa, która trwała do 1939 roku, do wybuchu II wojny światowej. Stwierdzamy, że likwidacja GRN w Rossoszyce byłaby czwórką dla wszystkich obywateli jako petentów w załatwianiu różnych spraw terenowych. Wskazując powyższe prosimy o przeanalizowanie możliwości w układzie nowego podziału administracyjnego i utrzymanie naszej

skąd przyszedłem, zanim zostałem powołany do pracy we władzach gromadzkich, pracowałem jako majster w cegielni. Na naukę, niestety, nigdy nie było zbyt wiele czasu, gonili człowieka tu i tam, najpierw po lasach za bandami, potem po zebraniach i tak mijaly lata. Później trzeba było pilnować, żeby się dzieci uczyły...”

Sekretarz Prezydium GRN, STANISŁAW TEODORCZYK:

— „Pracuję w tej Gromadzkiej Radzie od 1946 roku, a więc przeszło 27 lat. W tym przez 12 lat jako sekretarz. Od 1 stycznia idę

wem i żądanie to uwzględniono. Z kolei wieś Łosienice, która należała do Wróblewa, usilnie starała się o przyłączenie jej do Sieradza. I w tym wypadku faktycznie załatwiono po myśli mieszkańców”.

Najostrejszy konflikt notujemy w Rossoszyce. Faktem jest, że od początku naszego stulecia znajdowała się tam władza terenowa. Społeczeństwo miejscowe przywykło do tego i jest głęboko przekonane, że nadal powinna znajdować się tam siedziba administracji. Gromadzka Rada w Rossoszyce ma za sobą bardzo bogate tradycje. Nie mogę oczywiście powiedzieć, że

mad sąsiednich, czy też gromada ta ewentualnie zostanie powiększona, względnie, że nie ulegnie żadnym zmianom, i w związku z tym informuję, że uwagi zawarte we wniosku zostaną wykorzystane przy pracach związanych z podziałem administracyjnym”.

Być może władze nadzórne jeszcze raz dokładnie sprawę Rossoszyce przeanalizują i wtedy dojdą do wniosków bliższych intencjom mieszkańców tej gromady.

KAROL BADZIAK

Czy chodzi jedynie — jak powiada Andrzej Mi-cewski — o „nasz stosunek do tych tradycji histo-rycznych, z którymi się nie zgadzamy?” Sądję, że problem ten należałoby rozpatrywać w katego-riach bardziej ogólnych, mianowicie naszych po-staw w stosunku do narodowej przeszłości w ogó-le, w związku z postawami wobec konfliktów i problemów teraźniejszości.

Stosunku człowieka do współczesnego mu świata teraźniejszego nie da się bo-wiem oderwać od jego po-stawy wobec tej przeszłości, z której się owa teraźniej-szość wzięła. Konkurencja tu ze sobą dwie zasadnicze różnice się od siebie po-stawy ogólne, które bynaj-mniej nie są wymysłem publicysty. Jeżeli akceptuje się teraźniejszość z dobro-dziejstwem inwentarza, przyjmując wybór już przez kogoś dokonany jako włas-ny, a więc pasywnie, wów-czas można się zadowolić

sunku do tych wątków tradycji, których nie uwa-ża się za własne, a których nie sposób uznać za niebyłe i — powiedzmy to szczerze — nie mające żadnego od-działywania na teraźniej-szość.

Przyszły historyk nie tyl-ko intelektualnych dzieł naszej epoki będzie miał nie lada kłopot z określeniem ogólnych, by nie rzec, filo-zoficznych korzeni postaw, wyrażających się w przekonaniu, że niedostrzeżenie czegoś, niemówienie o czymś, eo ipso stanowi o jego nie-

wale licznym wciąż prze-ciwnikom — należy z opty-mizmem ocenić fakt, że polska nauka historyczna uczyniła w ostatnich latach zasadniczy krok naprzód w badaniach również nad dziejami polskiej prawicy, aby prócz dawnej i pionier-skiej pracy Henryka Ja-błońskiego (1953) wskazać na studia Mariana Orze-chowskiego (1965), Romana Wapińskiego (1966). Ostat-nio zaś Jerzy J. Terej w wyniku badań ogarniają-cych najszerszy krąg pro-blemowy, dał książkę pt. „Rzeczywistość i polityka” (1971), poświęconą schyłko-wi Stronnictwa Narodowe-go. Ukazał się też bardziej od niej popularny, a przy tym cenny zarys syntetycz-ny: „Idee, mity, realia. Szkice do dzieł Narodowej Demokracji” (1971).

W tym samym nurcie za-interesowań historycznych

wyczerpania całokształtu problematyki i świadomie dokonuje jej selekcji, sku-piając się na świadectwach i wątkach w jego przekona-niu najistotniejszych.

KILKA PYTAŃ

Publicysta, podejmujący ambitną wycieczkę w rejon historii, postępuje, a przynajmniej powinien po-stępować, inaczej niż pro-fesjonalny historyk. Naj-istotniejsza różnica nieko-niecznie musi polegać na tym, że publicysta zajmują-cy się historią pisze z myślą o współczesności. A przede wszystkim na odmiennym stosunku do historycznego twórcy: źródeł i wyko-rzystywanej literatury. Po-wstaje jednak pytanie, jak dalece można godzić się na ową inność publicystyczne-go warsztatu, w jak wiel-kiej mierze może on odstę-

zresztą w swym charakte-rze, Jana Cynarskiego-Krze-sławskiego oraz powołanych pamiętników Bolesława Li-manowskiego, pracy Kazi-mierza Czarnockiego, no i oczywiście, pewnych wy-powiedzi Józefa Piłsudskiego.

Po drugie. Czyżby nie ist-niały inne, godne wykorzy-stania źródła, innego po-chodzenia, które by mogły rzucić światło na życie, działalność i ideologię R. Dmowskiego? Tak nie jest. Jednostronność wyko-rzystywanego przez autora materiału źródłowego — której w tym stopniu nie obserwowaliśmy w jego poprzednich pracach — musi budzić zrozumiałą nie-ufość krytycznego czytelnika.

Jest niewątpliwie zasługą A. Micewskiego, że dotarł do częstokroć bardzo waż-nych dla tematu materiałów rękopiśmiennych, takich jak

PORÓWNANIA

Była to dla A. Micewskie-go gratka nie lada. Pełną garścią sięgnął do zbioru M. Kulakowskiego, ale... dokładne porównywanie obu tekstów prowadzi do wniosku, że niewiele, bądź wcale, poza to wydawnictwo nie wykroczył a czasem nie-zbyt ceremonialnie streszczał już nie tylko ogłoszone przez emigracyjnego autora źródła, do czego miał pełne prawo, lecz także — co gorsza — i jego edytorskie komentarze. Porównywanie obydwu tekstów powinno być dla A. Micewskiego ra-czej przykre. Oto próbki:

A. MICEWSKI, s. 25: „Od najdawniejszych lat żył niechęć do kierun-ków lewicowych. Był autorem parodii „Czerwo-nego Sztandaru”, której ostrze zwrócił przeciw

wyżyskiwaczom — Żydom, zamiast przeciw „katom” burżuazji. Śpiewał też swo-ją parodię z kolegami szkolnymi, jako własny „Czerwony Sztandar”, co spowodowało, że niektórzy przypisywali mu potem śpiewanie w młodości pieśni socjalistycznych (m. in. Grabiec w „Czerwo-nym Sztandarcie” i Hab-ryk w „Ideologii Przeglądu Wszechpolskiego”).

M. KULAKOWSKI, s. 25: (tekst biografii, plóra Ignacego Chrzanowskiego): „Bodaj także w gim-nazjum sparodiował Dmow-ski pieśń rewolucyjną „Czerwony Sztandar”: pa-rodia polegała na tym, że pieśń zwracała się nie przeciwko „katom” — burżuazji, tylko przeciw wyżyskiwaczom — Żydom. Tę swoją parodię śpiewał autor z kolegami, i stąd to zapewne powstała plotka, (którą podaje między in-nyymi Grabiec w „Czerwo-nym Sztandarcie” i Habryk w monografii pod tytułem „Ideologia Przeglądu Wszechpolskiego”), że był czas, kiedy Dmowski śpiewał na zjazdach mło-

papiery Stanisława Kozie-niego, materiały Ignacego Paderewskiego, Stanisława Grabskiego i inne. Sygnal do nie wyzyskanych dotąd przez badaczy zbiorów pry-watnych, co stało się z nie-wątpliwą korzyścią dla książki.

Pozostaje jednak faktem, że w bardzo dużej swej części, mianowicie w pierw-szych sześciu rozdziałach (na dziesięć składających się na całość) rzecz A. Mi-cewskiego wykazuje znacz-ną, czasem aż zbyt wielką zależność od wydawnictwa Mariusza Kulakowskiego „Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień”, które-go tom I, jak dotąd jedyny, ukazał się w Londynie w 1968 roku staraniem „Insty-tutu Romana Dmowskiego w Ameryce”. Publikacja ta, choć zrodzona z intencji apologetycznych, przedsta-wia znaczną wartość, zawie-ra bowiem na ponad czte-rystu stronach druku liczne źródła, prawie wyłącznie pochodzenia endeckiego, w tym wiele dotąd nie druko-wanych.

poważ od reguł postępowania, które historyk z racji swej profesji uważa za za-sadnicze? Rzecz o R. Dmow-skim wielokroć bardziej niż poprzednie prace A. Micew-skiego, nasuwa tutaj nieco uwag.

Po pierwsze. Czy wolno i jest w ogóle możliwe, aby podejmować trud kreślenia w zamierzeniu obiektywnej pracy o bardzo kontrower-syjnej postaci jakiegokolwiek dzieł, w oparciu o rela-cje, materiały, dokumenty itd., pochodzące niemal wy-lącznie od opisywanego bo-hatera, jego współpracowni-ków i przyjaciół? Jest to metoda, którą posługiwali się autorzy żywotów świę-tych — oraz autorzy „wszel-kiego rodzaju panegiryków, praktykowana zresztą pow-szechnie, ale jest to metoda niebezpieczna i częstokroć wręcz uniemożliwiająca osiągnięcie zamierzonego przez autora celu. Tymcza-sem rzecz A. Micewskiego o Romanie Dmowskim opie-ra się niemal wyłącznie o źródła pochodzenia ende-ckiego, filo- i poendeckiego, jeśli nie liczyć raz wspo-mnianego tekstu, ciepłego

— nie zawsze jednak inter-pretacji — mieści się znacz-na część A. Micewskiego. Mam tu na myśli w szcze-gółności jego pierwszą, gło-sną książkę o geografii po-litycznej II Rzeczypospolitej (1965, II wyd. 1966) oraz — i to przede wszystkim — wydaną ostatnio w wydaw-nictwie „Verum” (1971) pra-cę, opatrzoną krótkim tytulem: „Roman Dmowski”.

Potrzeba książki o tym wybitnym przywódcy i ide-ologu obozu narodowo-de-mokratycznego jest niewąt-pliwa. Zławsza takiej, która nie byłaby ani bez-krytyczną biografią, ani paszkwilem. Przy obecnym stanie badań nie sposób wymagać, by mogła to być od razu w pełni wyczerpu-jąca, naukowa monografia i niechybnie przyjęcie kon-wencji publicystyki histo-rycznej jest w tym wypad-ku wyjściem bodaj najlep-szym.

Zadaniem autora było — jak pisał na wstępie — „możliwie wierne przedsta-wienie człowieka, istoty jego koncepcji i działań”, przy czym od razu zastrze-żył, że nie pretenduje do

istnieniu. Gdy chodzi o pro-bemy i konflikty współ-czesności, to mogą one same o sobie przypomnieć, i czy-nia to — jak wiemy — nie-rzad bardzo brutalnie. Ale co rzecz o sprawach i sporach, które odeszły w przeszłość, stały się przedmiotem histo-rii i zdawałoby się — choć jest to najczęściej pozór — że straciły jakiegokolwiek zna-czenie dla późniejszej od nich teraźniejszości?

W przedmowie do drugie-go wydania swej książki „Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej” (1966) A. Micewski wyraził prze-konanie, że w świadomości części naszego społeczeń-stwa funkcjonują niektóre poglądy endeckiej „prowe-niencji”. Wątpię, czy prze-miany ostatnich lat pozwo-liłyby zaprzeczyć słuszności tej obserwacji. Pozwala to sądzić, że milczenie o spra-wach ruchu narodowo-de-mokratycznego, a zwłaszcza jego ideologii, jakie przez długie lata było udziałem naszego piśmiennictwa, nie przyczyniło się do pełnego przezwyciężenia tej ostat-niej w społecznej świadomości. Dlatego — wbrew

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

TRADYCJA I RZETELNOŚĆ

dokonanym już autoryta-tywnie wyborem tradycji, a wszystko, co się w niej nie mieści, może być doskonale obojętne. A zatem nie po-wstaje wtedy w ogóle pro-blem stosunku do tych tra-dycji, których nie akceptu-jemy i można je po prostu uważać za niebyłe. Nie trzeba chyba dodawać, że postawy takie miały i mają po dziś dzień swoje realne odpowiedniki w życiu spo-łecznym.

Niechybnie mniej wygod-ny jest inny ogólny model współczesnego człowieka. Model aktywny, który każe bezustannie dokonywać własnego wyboru, odmien-nego od poprzednich. Tak myślący człowiek nie uwa-ża przeszłości za raz zamk-niętą całość, nie zadowala się dokonanym wyborem tradycji, ale powodowany własnymi niepokojami i po-zzukiwaniami najzupełniej współczesnymi, próbuje własnych reinterpretacji tradycji, poszukując w nich nowych, żywych treści, a nie jedynie koturnowego historycznego sloganu. Do-piero aktywna postawa aktualizuje zagadnienie sto-

— nie zawsze jednak inter-pretacji — mieści się znacz-na część A. Micewskiego. Mam tu na myśli w szcze-gółności jego pierwszą, gło-sną książkę o geografii po-litycznej II Rzeczypospolitej (1965, II wyd. 1966) oraz — i to przede wszystkim — wydaną ostatnio w wydaw-nictwie „Verum” (1971) pra-cę, opatrzoną krótkim tytulem: „Roman Dmowski”.

Potrzeba książki o tym wybitnym przywódcy i ide-ologu obozu narodowo-de-mokratycznego jest niewąt-pliwa. Zławsza takiej, która nie byłaby ani bez-krytyczną biografią, ani paszkwilem. Przy obecnym stanie badań nie sposób wymagać, by mogła to być od razu w pełni wyczerpu-jąca, naukowa monografia i niechybnie przyjęcie kon-wencji publicystyki histo-rycznej jest w tym wypad-ku wyjściem bodaj najlep-szym.

Zadaniem autora było — jak pisał na wstępie — „możliwie wierne przedsta-wienie człowieka, istoty jego koncepcji i działań”, przy czym od razu zastrze-żył, że nie pretenduje do

istnieniu. Gdy chodzi o pro-bemy i konflikty współ-czesności, to mogą one same o sobie przypomnieć, i czy-nia to — jak wiemy — nie-rzad bardzo brutalnie. Ale co rzecz o sprawach i sporach, które odeszły w przeszłość, stały się przedmiotem histo-rii i zdawałoby się — choć jest to najczęściej pozór — że straciły jakiegokolwiek zna-czenie dla późniejszej od nich teraźniejszości?

W przedmowie do drugie-go wydania swej książki „Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej” (1966) A. Micewski wyraził prze-konanie, że w świadomości części naszego społeczeń-stwa funkcjonują niektóre poglądy endeckiej „prowe-niencji”. Wątpię, czy prze-miany ostatnich lat pozwo-liłyby zaprzeczyć słuszności tej obserwacji. Pozwala to sądzić, że milczenie o spra-wach ruchu narodowo-de-mokratycznego, a zwłaszcza jego ideologii, jakie przez długie lata było udziałem naszego piśmiennictwa, nie przyczyniło się do pełnego przezwyciężenia tej ostat-niej w społecznej świadomości. Dlatego — wbrew

ANDRZEJ HAMPEL

SPRZYMIERZENIE CZY WRÓG?

Uwagi te na dobrą sprawę mógłbym rozpocząć od trady-cyjnego i wielokroć ośmieszonego: „już starożytni Grecy...”. I nie byłoby w tym ani krzty przesady, bowiem to właś-nie antyczna Grecja dała nam termin „krinein” — sądzić i od tamtych czasów nazwisko nieszczonego Zoilosa słu-ży do określania jego potomków, krytyków kąśliwych a nie lubianych.

Stało się niemal regułą, że na wszelkich spotkaniach, zjazdach i naradach poświęconych sytuacji w polskiej li-teraturze, teatrze, filmie, najwięcej gorzkich słów pada pod adresem krytyki. Pamiętam swoje zdziwienie sprzed paru laty, kiedy w dyskusji prowadzonej na łamach jed-nego z tygodników wyczytałem, że winę za beznadziejny stan naszej kinematografii ponoszą... niechętni krytycy fil-mowi.

Inny przykład. Znakomita poetka, Urszula Kozioł, po swej ostatniej książce (powieści) spotkała się w prasie li-terackiej z kilkoma niezbyt entuzjastycznymi recenzjami. Wiem od księgarzy i bibliotekarzy, że i czytelnicy nie bar-dzo kwapią się do tej lektury. Ale autorka wytacza w przedostatniej „Odrze” armaty i „kropi” generalnie w pol-ską krytykę literacką.

Rozpisana u schyłku ubiegłego roku przez „Życie Lite-rackie” ankietą: „Pisarz — czytelnik — krytyk” prze-konała mnie, że niektórzy pisarze polscy mogliby podpisać się pod fragmentem „Sztuki rymotwórczej” księdza Fran-ciszka Dmochowskiego:

Ostry krytyka urząd nie każdego zdobi
Niech ten sądzi o drugich, który sam co zrobi...

Na temat „twórcy — krytyk” wypisano już morze atra-mentu, na półkach bibliotecznych pod tym hasłem odna-leźć można setki uczonych tomów, a konflikt ciągle trwa. Nie wdając się tu w szczegółowe przypomnienia i anali-zy, pozwolę sobie na wyznaczenie, że zgadzam się tezą Be-nedetto Crocego, iż „jak żaden krytyk nie może zrobić arty-stą człowieka, który artystą nie jest, podobnie żaden kry-tyk nie może — jest to niemożliwość metafizyczna — unicestwić artysty, który naprawdę jest artystą, nie może go pokonać, ani nawet zranić”.

I nie odkryje zapewne ładów nieznanych, jeśli napiszę, że w tym odwiecznym sporze prawda leży gdzieś pośro-dku. Twórcy w wielu wypadkach mają słusność twier-dząc, że często w krytyce panoszą się frazesy, popisywanie się przypadkowymi strzępami wiedzy, przewaga wątpliwej wartości popisów erudycyjnych nad rzeczywistą myślą, terror belkotu i szantażowanie sezonowymi modami. Nie-rzad wydaje się, że wystarczy uprościć słownik niektórych krytyków, a nie będą mieli nic do powiedzenia.

Ale myślę, że i krytycy mają rację mówiąc, że twórcy wolą grzeczne, bezkonfliktowe laurki, komplementy i po-chlebstwa, aniżeli słowa prawdy. Że niektórzy wolą fa-lszywy ułkon od prawdziwej walki na idee i myśli.

Przykład z mojego podwórka. Czy ktokolwiek podjął ze mną otwartą, merytoryczną dyskusję po ostatnim Festi-walu Poezji w Łodzi, kiedy pozwoliłem sobie na kilka krytycznych uwag na temat jego organizacji i przebiegu obrad. Nie. Natomiast za tzw. kulisami przypisywano mi zapędy likwidatorskie, zamach na samą ideę Festiwalu.

Nie wiem, może są więc potrzebni nadal recenzenci, owe opisywane wielokroć „siostry miłosierdzia”, utrzymu-jące plectyków twórców przy życiu, tzn. w przekonaniu, że są zawsze najlepsi i dobrzy.

Tyle, że taka działalność zda się psu na budę. Tzn. ani twórcom, ani sztuce, ani krytykom. Rozumiem, że praw-dziwa krytyka, podobnie jak twórczość musi mówić praw-dę, choćby dlatego, że mają służebne obowiązki wobec społeczeństwa.

Może niektórym koneserom wyda się to naiwne, ale myślę, że trzeba nieustannie zadawać sobie pytania: „kim jestem?”, „gdzie i do czego dążę?”, „czego chcę?”. Naiw-ne dla takich twórców i krytyków, którzy przeciwstawi-ają sferę kontemplacji sferze działania, absolutyzujących

pierwiastek subiektywny, gotowych, przyklasnąć tezie, że od chwili, kiedy twórca pisze, robi film, czy spektakl, po to, aby służyć swemu narodowi, społeczeństwu, wkracza w sferę działania i brudzi sobie ręce!

Naiwne dla takich, którzy krzywią się, że Ernest Bryll „to taki patriota” i „poeta nadworny”, krzyczą, że Ry-szard Filipiński rozbudza niezdrowe instynkty itd. itp.

Część awangardy poetyckiej dwudziestolecia głosiła m. in. hasło „wstydu uczuć”. Mnie się wydaje, że po szoku, jaki przeszła krytyka marksistowska w 1956 r. obser-wujemy coś w rodzaju „wstydu” marksistowskiego narzę-dzia badania dzieła artystycznego. Wielu zaś krytyków dawniej uznanych za marksistów, po „rozczarowaniu”, jakie przeżyli, znalazło się po drugiej stronie barykady, kwestionując nie tylko zasady socjalistycznej polityki kul-turalnej, ale i kierowniczą rolę partii w ogóle. Dlaczego? Jeden ze znanych publicystów tłumaczy to słabością we-wnętrzną, lękiem przed zostaniem sam na sam z party-kularnością polską. Ta sama słabość kazała im przedtem akceptować w pełni dekalog A. Zdanowa. Dziś wolą uni-wersalizm, europejskość itp.

Słów kilka o sytuacji w Łodzi. Czy istnieje tu krytyka artystyczna? Ośmielam się twierdzić, że nie. Jeśli mo-żemy mówić o poważnej krytyce plastycznej, muzycznej czy teatralnej na łamach łódzkiej prasy, to prawdziwej krytyki literackiej nie ma.

Nie ma bowiem gdzie jej uprawiać. Mówić możemy na-tomiast o takiej czy innej działalności recenzenckiej, „ob-słudze na co dzień”, uprawianej przez kilkanaście osób w gazetach codziennych, „Odgłosach”, radiu i TV. Myślę, że kiedy już dorobimy się przez wszystkich oczekiwanego miesięcznika powstaną bardziej sprzyjające warunki dla rozwoju krytyki literackiej. Jak słychać i Wydawnictwo Łódzkie zamierza w niedalekiej przyszłości wydać tomy esejów młodych łódzkich poetów.

Prasa codzienna z natury rzeczy nie może publikować krytycznych rozpraw, poświęconych jednej książce i prze-znaczonych dla raczej wąskiego kręgu odbiorców. Można natomiast i trzeba tam uprawiać działalność recenzenką, sygnalizując niektóre tytuły wraz z próbami formułowa-nia pewnych ogólniejszych sądów i ocen. Myśl o maso-wym czytelniku drukowanych recenzji decyduje o wybo-rze dzieł, o formie publikacji i nonsensem byłoby domagać się miejsca dla specjalistycznych esejów.

Czego można żądać od gazetowych recenzji? Myślę, że przede wszystkim tego, aby moment personalny nie prze-

dział „Czerwony Sztandar”: śpiewał, ale swój własny, nie „Czerwieskiego”.

Ani M. Kulakowski, ani A. Micewski nie sięgnęli jednak do wspomnianej przez I. Chrzanowskiego pracy Grabca. Pierwszy w indeksie do swego wydawnictwa nazwisko to w ogóle pominął, drugi w indeksie swojej książki podał „Grabca”, a więc bez imienia i właściwego brzmienia nazwiska. Chodzi oczywiście o Józefa Grabca-Dąbrowskiego, autora, nie wiedzieć czemu nie wzniesionego po wojnie, książki „Czerwona Warszawa przed ćwierćwiekiem” (1925), historyka wybitnego, ale związanego z PPS, więc pewnie i dlatego nie wyjaśnionego...

Ale porównujmy dalej.
A. MICEWSKI, s. 28:
„Dmowski jednak dopro-

skiej kompromis pomiędzy prądem narodowym, a socjalistyczno-kosmopolitycznym (...) Przysięgał Związkowi Ideal odzyskania niepodległego państwa; za jeden z głównych środków do osiągnięcia tego celu Dmowski, już jako student uniwersytetu, poczytywał uświadczenie odrębności narodowej najszerszym warstwom ludu wiejskiego i miejskiego oraz krzewienie wiedzy przeszłości narodowej. Kiedy Związek uchwalił opracowanie popularnej historii Polski, zadania tego podjął się nie kto inny, tylko on — i przystąpił bezwzględnie do roboty; na posiedzeniach Związku czytał poszczególne rozdziały swej rozprawy, ale nie ukończonej (i zatraconej) pracy”.

A. MICEWSKI, s. 43-44:

1902 r. we Lwowie nowy organ w postaci wykupionego od spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego „Słowa Polskiego”. Redakcję tego pisma objął przybyły z Warszawy Zygmunt Wasilewski. Stało się ono aż do 1905 r. głównym organem Ligi i organizującym się Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Trzecie obok lwowskiego i krakowskiego, warszawskie środowisko Ligi, pracujące w specjalnych warunkach konspiracyjnych, zapewniało przede wszystkim środki materialne, konieczne na tak szeroką działalność wydawniczą. W Warszawie pracami Ligi kierowali dwaj pozostali członkowie Komitetu Centralnego — Karol Raczkowski i Teofil Waligórski, razem z Józefem Kamińskim, zajmującym się

działalą czynnie w ramach swoich bardziej ograniczonych możliwości w pracach Ligi poza kordonem, głównie poprzez zapewnienie postaw materialnych jej działalności. Tam nad całością prac Ligi czuwał dwaj inni członkowie Komitetu Centralnego Ligi, Karol Raczkowski i Teofil Waligórski, który pospół z Józefem Kamińskim „ministrem skarbu” Ligi i licznym poczem działaczy prowincjonalnych stanowią z gronem emigrantów galicyjskich sprawujący aparat kierowniczy ruchu narodowego w tym okresie”.

Można byłoby tak dalej. Są jednak i takie zbieżności, których autor nie zaznaczył powołaniem się na swego poprzednika, a które byłyby choć trochę uzasadnione tylko w wypadku

dwóch krótkich tekstów, z jednej i tej samej książki tego samego autora:

A. MICEWSKI, s. 251:
„Do Paryża przyjechała z kolei delegacja Naczelnika Państwa, przywożąc list Pilsudskiego do Dmowskiego, ów słynny list datowany w Przemyslu 21 grudnia 1918 roku, zaczynający się od słów: „Drogi Panie Romanie”.

A. MICEWSKI, s. 297:
„Słynny list sprzed półtora roku, który wbrew wielu publikacjom zaczynał się od słów: „Szanowny Panie Romanie”, a nie „Drogi” (patrz facsimile

listu w londyńskiej „Kronice” nr 37 (1967), był w tym czasie potrzebny chwili (...)”

Wystarczy. Wszystkie przytoczone tu przykłady rzucają ostre światło na istotne braki warsztatu historycznej publicystyki. A. Micewskiego. Jest to tym bardziej przykre, że obok zwyczajnej „złej roboty”, mamy przecież w tej książce wcale sporo kart cennych, że wreszcie tak drastycznie, w moim przekonaniu, niedostatków warsztatowych nie było w jego dawniejszych publikacjach. Ale na tym nie koniec.

PUBLICYSTY

wadził do wystąpienia jedenastu socjalistów ze Związku. Stwarzając przepaść między kierunkiem narodowym i socjalistycznym, uniemożliwiał występujące podówczas tendencje do kompromisu. Odbiło się to głęboko na przyszłości całego polskiego życia politycznego.

Natomiast już za czasów studenckich, podkreślał silne znaczenie odrębności narodowej i wysuwał postulat uświadomienia go najszerszym masom ludu wiejskiego i miejskiego. Za najpilniejszą rzecz uważał krzewienie wiedzy o przeszłości narodowej. Rozpoczął pisanie historii Polski, które rozdziały były czytane na posiedzeniach Związku. Praca ta nie została ukończona i nie zachowały się nawet jej fragmenty”.

M. KULAKOWSKI, s. 28:
(o d. tekstu I. Chrzanowskiego): „(...) jedenastu socjalistów wystąpiło ze Związku. Tym sposobem uniemożliwił coraz wyraźniej zaznaczający się wśród młodzieży warszaw-

„Na siedzibę i swoje miejsce zamieszkania wybrał Lwów. Była tam atmosfera przychylniejsza dla jego poczyną, niż w Krakowie, gdzie rząd dusz sprawowali stanicycy, ton nadawały pałace; pod Baranami Potockich i „na Szlaku” Tarnowskich oraz redakcja „Czasu”.

M. KULAKOWSKI, s. 171:
(komentarz wydawcy): „(...) Lwów w porównaniu z Krakowem był tym środowiskiem, gdzie na ogół biorąc panowała o wiele przychylniejsza atmosfera dla prac, jakie zamierzał Dmowski podjąć. W Krakowie rząd dusz i opinii sprawowali stanicycy. Na ton całego miastu nadawały pałace; pod Baranami Potockich i „na Szlaku” Tarnowskich. Do ich dyspozycji stała redakcja „Czasu”.

A. MICEWSKI, s. 64-65:
„We Lwowie pozostał Popławski, redagując tam „Wiek XX” i „Polaka”. Po przeniesieniu „Przeglądu Wszechpolskiego” do Krakowa Liga Narodowa uzyskała z początkiem

sprawami finansowymi”.

M. KULAKOWSKI, s. 230-231 (komentarz wydawcy): „We Lwowie pozostał Popławski jako redaktor „Wiek XX” i „Polaka”, a niedługo po przeniesieniu „Przeglądu” do Krakowa uzyskała Liga Narodowa z początkiem marca 1902 nową placówkę pracy publicystycznej i politycznej w postaci wykupionego z rak spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego „Słowa Polskiego”, które pod redakcją śląskiego z Warszawy Zygmunta Wasilewskiego będzie aż do roku 1905 w pewnym sensie nieoficjalnym centralnym organem Ligi Narodowej i organizującym się równocześnie Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. W ten sposób równomiernie rozłożone role środowiska lwowskiego i krakowskiego w dziejach Ligi Narodowej w tym czasie nie umniejszały w niczym pozycji Warszawy, która koncentrując się głównie na działalności w granicach zaboru rosyjskiego, współ-

przyczyniania źródeł. To wszystko powoduje, że trudno uwierzyć w samodzielność i rzetelność tej pracy.

Spotykamy się też z przykrymi próbami maskowania zapożyczeń. Kiedy A. Micewski podając za I. Chrzanowskim (za pośrednictwem M. Kulakowskiego) tekst wyroku w sprawie Romana Dmowskiego, wtrącając w nawiasie objaśnienie I. Chrzanowskiego opatrzone wymownym: „dopisek mój — A. M.”. Spotykamy się też z objawami zwyczajnego niechlujstwa. Kiedy w powołanym ustępie tekstu Zdzisława Dębickiego (źródło zostało tym razem wskazane — znów M. Kulakowski) omyłkowo zamieniono słowo „przezwiałem” na „przypuszczalem”, czy kiedy w tekście R. Dmowskiego podanym — co znów zaznaczono — za emigracyjnym wydawnictwem, pokreślono interpunkcję. Takich przykładów niechlujstwa, wynikających pewnie z pośpiechu można byłoby mnożyć.

Ale wreszcie prawdziwe curiosum. Wybaczcie mi, że znów będzie zestawienie

KONKURS OTWARTY

NA OPIS OSIEDLA MIESZKANIOWEGO

1. Zarząd Łódzkiego Związku Młodzieży Socjalistycznej, Redakcja Tygodnika „Odgłosy” i Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bawelna” ogłaszają Konkurs Otwarty Na Opis Osiedla Mieszkaniowego.
2. W konkursie mogą wziąć udział mieszkańcy wszystkich spółdzielczych osiedli mieszkaniowych na terenie naszego miasta, zarówno młodzież jak i osoby dorosłe.
3. Odpowiedzi konkursowe mogą być podane w formie: pamiętnika, szkicu, reportażu, opowiadania, lub wypowiedzi publicystycznych. Organizatorzy pozostawiają w tym zakresie dowolność formy jak i treści wypowiedzi. Istotne jest to, aby wypowiedzi uczestników konkursu dały obraz życia osiedla bądź poruszały jego najistotniejsze sprawy, na czym organizatorom szczególnie zależy.
4. Prace o objętości od 6 do 12 stron maszynopisu w 3 egz. bądź też w czytelnym rękopiśmie należy nadesłać do dnia 31 stycznia 1973 r. na adres: Osiedlowy Dom Kultury ZMS RSM „Bawelna”, ul. Podhalańska 1 podając nazwisko i imię oraz dokładny adres autora.
5. Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I — 2.000 zł, II — 1.500 zł, III — 1.000 zł, dwa wyróżnienia po 500 zł i 15 wyróżnień książkowych.
6. Jury zastrzega sobie prawo nie przyznawania którejś z w/w nagród lub innego ich podziału.
7. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo wyboru prac nagrodzonych i nie nagrodzonych do druku, ew. omówienia ich w prasie bądź w publikacjach książkowych.
8. W skład jury wchodzi: przedstawiciel ZL ZMS, Związku Literatów, Redakcji „Odgłosy”, RSM „Bawelna”.
9. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi dnia 20 lutego 1973 r. Wyniki podane zostaną na łamach „Odgłosów”.

stosunków sądów i spraw, aby dawały one czytelnikowi maksymalnie pełny obraz tego, co dzieje się aktualnie w sztuce, aby proponowały rzeczy rzeczywiście dobre i ważne, aby starały się kształtować gusty i upodobania odbiorców, godne naszych czasów, aby poszerzały ludzkie horyzonty.

BOGUMIŁ MACIEJEWSKI PRZED WSZYSTKIM SPRZYMIERZENIEC

Właśnie tak odpowiedziałbym na pytanie postawione w tytule przez Andrzeja Hampła. Krytyk jest i powinien być sprzymierzeńcem twórcy. Ale może nim być tylko wtedy, kiedy posługuje się obiektywnymi kryteriami oceny.

Nie mam zamiaru wdawać się w dyskusję o roli i miejscu krytyki w sztuce — twórca — krytyk, bo cały ten spór, choć wypisano już na ten temat morze atramentu, wydaje mi się w tej chwili zupełnie nieistotny. Jest to bowiem spór o pozory. Istotne natomiast wydaje mi się to, co Andrzej Ham-

pel nazywa „wstydem marksistowskiego narzędzia badania dzieła artystycznego”. I bardzo żałuję, że temu tak ważkiemu problemowi poświęcił li tylko jeden akapit, aby zaraz od spraw ogólnych przejść do sytuacji w Łodzi.

Pozwólę sobie powtórzyć pytanie: „Czy istnieje tu krytyka artystyczna?” I odpowiedź: „Ośmielam się twierdzić, że nie”. Nie jest to jednak dowód wielkiej odwagi, bo o braku krytyki wiedzą niemal wszyscy, ale są i tacy, którzy wolą tego nie dostrzegać. Inni natomiast — wolą nie mówić o

przyczynach takiego stanu rzeczy. A jakie są to przyczyny?

Zdaniem Andrzeja Hampła nie ma w Łodzi gdzie uprawiać krytyki artystycznej. Zastępuje ją, jak nazywa „działalność recenzentka”, a sytuacja zmienia się wraz z pojawieniem się miesięcznika.

Nie oszukujmy się! Nie nie zmieni pojawienie się miesięcznika, bo nie jest prawdą, że w Łodzi nie ma krytyki tylko dlatego, iż nie ma jej gdzie uprawiać. W końcu jedyny krytyk muzyczny pisze na łamach codziennej gazety — w „Głosie Robotniczym”. I nie uwiary, że „GR” nie opublikowałby choćby tylko w sobotnim wydaniu dobrego, z pasją napisanego studium np. o współczesnych robotnikach w filmie polskim, gdyby takie studium ktoś do redakcji przyniósł. Szkopuł w tym, że nikt nie przynosi. Podejrzewam, że podobnie byłoby z miesięcznikiem. I dlatego rozsądnie postępują władze, uzależniając powstanie nowego pisma od intelektualnego rozwoju środowiska. Trzeba więc będzie obalić kilka mitów i odpowiedzieć na kilka pytań.

Do tej pory np. nie potrafili sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w Łodzi — mieście, gdzie są wyższe uczelnie, skupiające specjalistów z różnych dziedzin sztuki, nie ma autentycznej

krytyki artystycznej? Tu chciałbym się zastrzec, że codzienna działalność recenzentka jest dla mnie tylko wstępem do krytyki. Nie jest z krytyką jednoznaczna i nie może jej zastąpić. Jeśli narzekamy na ową działalność recenzentki, to m.in. dlatego, że nie opiera się ona na swojej metodologicznej i ideowej bazie — na szeroko rozumianej, autentycznej krytyce artystycznej. Ale i owej, często tak krytykowanej „działalności recenzentki” nie uprawiają ludzie, specjalnie przygotowani do tego na wyższych uczelniach.

Andrzej Hampel sam wspomina o „siostrach miłosierdzia”, pisze o „fałszywych ukołach”, które zastępują „walkę o idee i myśli”. Moim zdaniem uprawianiu takiej właśnie „działalności recenzentki” sprzyja też i brak ideowej oceny zjawisk artystycznych. Łatwiej i bezpieczniej jest przecież wytknąć twórcy formalne potknięcia, pochwalić go za zalety konstrukcji dzieła, poszukać „analogii” z wielkimi poprzednikami, niż pokusić się o ocenę ideową wartości utworu. Do tego potrzeba przecież już nie deklaracji, ale samookreślenia się recenzenta. Jeśli występuje z marksistowskich pozycji, jeśli posługuje się marksizmem jako narzędziem, które pozwala mu budować kryteria, to sam musi naj-

pierw ten marksizm poznać i określić do niego swój stosunek. A to przecież dziś takie niemożliwe!

Wielu ludzi uznało, że skoro żyją w państwie socjalistycznym, a na dodatek noszą w kieszeni legitymację partyjną, to, siłą rzeczy, są już marksistami. Ale to nieprawda! Nie wystarczy przecież wewnętrzne przekonanie, że jest się marksistą, jak nie wystarczy tylko deklaracje o ideowym zaangażowaniu. Trzeba jeszcze do tego mieć poglądy i poddać je weryfikacji, ocenie i konfrontacji z praktyką. A tu staliśmy się ostatnio wielkimi wersalczykami. Bardzo polubiliśmy życie towarzyskie i staliśmy się niezwykle dbali o dobre stosunki ze wszystkimi. A to zazwyczaj nie idzie w parze z walką na idee i poglądy. Chociaż muszę przyznać, że nie rozumiem, dlaczego stosunki towarzyskie muszą przeszkadzać w działalności recenzentki. A przecież zdarzyło mi się już słyszeć przeróżne historie o ludziach, którym negatywnie oceniono ich prace. Niekiedy „w odwet” za taką ocenę przestali kłaniać się i poznać autorów na ulicy. Gdybyśmy jednak rzeczywiście zamiast „fałszywych ukołach” mieli walkę na idee i myśli, to chyba taka reakcja na ideową ocenę byłaby nie do pomyślenia. Ba! Gdybyśmy...

Andrzej Hampel sformu-

wał na zakończenie program minimum dla gazetowych recenzentów. Trudno byłoby nie zgodzić się z tym programem. Ale trudno też na tym poprzestać. Nie o dobre recenzje wypadła tylko walka, ale o krytykę z prawdziwego zdarzenia, o ideową ocenę zjawisk artystycznych, o ideową ocenę problemów wewnętrznych przemów, jakie prezentują odbiorcom współcześni twórcy. I uważam, że taka krytyka jest nie tylko potrzebna, ale i możliwa w Łodzi.

Dyskusja o potrzebie krytyki artystycznej już się zaczęła. Zapoczątkowało ją spotkanie dwu podkomisji Komisji Propagandy KŁ PZPR. Padło tam sporo uwag, postulatów, sformulowano poglądy i kierunki działania. W ich wyniku ma powstać program działania łódzkiej instancji partyjnej, w oparciu o który dążyć się będzie do stworzenia warunków dla rozwoju krytyki artystycznej w Łodzi. Jest to jednak wstęp, albo — jak to się ładnie mówi — pierwszy krok. Co dalej?

Dalej potrzeba więcej takich dyskusji. Potrzeba zaangażowania się wszystkich, którym los krytyki artystycznej w Łodzi leży na sercu. I dlatego swoje zastrzeżenia i uwagi, choć wynikają z artykułu Andrzeja Hampła, dedykuję tym wszystkim, którzy na brak takiej krytyki w Łodzi narzekają i tym, którzy powinni się nią zająć.

WIESŁAW
JAŹDŻYŃSKI

POWRÓT

Fragment powieści

Myślałem podczas drogi, że to miasteczko wyparowało już ze mnie bez reszty, nie w nim nie znajdę osobistego, może tylko jakieś blade cienie, może wyciszone echa dawnych wydarzeń.

Autobus zatrzymuje się w rynku. Wszystko dookoła wydaje mi się tak inne, tak zaskakujące, że mimo woli zadaje sobie pytanie — czy aby nie pobrażdziłem? Widać nie, jednak więcej pamiętam, niż myślałem. Stoją sobie wesołe, kolorowe kamieniczki, wypucowane starannie, ani śladu starej studni, pośrodku rynku bije w niebo fontanna, rosa opada na kwiaty, otaczające pomnik bohaterów ostatniej wojny.

To miasto nie jest już moje, w ogóle nie jest żadnym miasteczkiem, tylko powiatowym ośrodkiem, powiela różny wielu innych. A jednak czuję rosnące podniecenie. Jest to chyba uczucie powracającego po latach do czystego źródła, na rozległy obszar młodości. Wysiadam ostatni. Tegdy, wysłysiały mężczyzna chwytając mnie w ramiona. Budryn? Możliwe, żeby to był on?

— Stefan! Stary kumpel! Na starych śmieciach to coś zupełnie nowego! Ale masz głupią minę, zupełnie jak byś nie poznawał swojego cierniowego szefa.

Budryn, teraz poznaję, choć nie bez pewnego trudu. Jakże to w końcu jest? Czy czas oszukał Budryna, przyspieszył nadmiernie proces starzenia, czy też kłamie moje lustro? Spoglądam w nie każdego dnia przy goleniu. Włosów mniej, to prawda, ale Budryn całkiem już łysy, resztki siwizny trzymają się tyłu głowy, a przecież zadziwiał gęstą czupryną, nie do zdarcia — jak kiedyś mówiliśmy. Łamal grzebienie jak zapalki, teraz pewnie w ogóle nie używa grzebienia. Pewnie, że i ja zaczynam siwieć, platynowy tata — powiadają moje córki — ale twarz zachowała dawną szczupłość, nie jestem taki napuchnięty jak Budryn, kuzne stół przy oczach mało widoczne, a on cały w bruzdach, twarz jakby poplamiona, nos czerwony, czoło zoranę plugiem, ciężkie brwi wiszą ponad wyparowanymi oczami, jeszcze młodszy, dwa, a opadną i doktor oślepnie. Czymże jest w takim razie czas, skoro nie biegnie jednakowo?

— Ależ stary, co ty wygadujesz? Od razu cię poznałem, jeszcze w okieneczku autobusu, nie się nie zmieniłeś, albo, bądźmy szczerzy, bardzo niewiele, takiego siekiera nie zatłuczesz, albowiem należysz do pokolenia niezniszczalnych.

— Niezniszczalne mogą być tylko nasze dzieła, my rozspujemy się zawsze, mój drogi.

— Ułożyłem program twojego pobytu.

— Świetnie, bardzo lubię, jak ktoś za mnie robi same najważniejsze rzeczy. Jaki program?

Budryn prowadzi mnie do samochodu.

— Ładna ta twoja kawa z mleczkiem!

Istotnie „Fiat” doktora Budryna prezentuje się znakomicie, niesie miękko, płynie, a on sam prowadzi bez pudła, spokojnie zmienia biegi, żadnego zdenerwowania, ani cienia niepokoju.

— Jesteśmy na miejscu.

— Każdy człowiek, a już

zwłaszcza taki wielki jak ty, musi złożyć kwiaty na cmentarzu poległych, patriotyczny obowiązek, mój drogi.

— Jasne, wielki czy mały, każdy ma swoje groby.

Przeglądam się uważnie Budrynowi. Kręci się po swoim ogrodzie i tnie kwiaty. Mamy piękny poranek, niebo delikatne, jakby dzisiejszym jego twórcą błękitu nie starczyło. Znak, że dzień będzie gorący.

— A jednak nie rozumiem, dlaczego musimy zaczynać od cmentarza. Nie lepiej od czegoś weselszego?

— Trzeba od cmentarza, sam do tego przekonania dojdiesz.

Skomponował imponujący bukiet biało-czerwonych róż. Wszystko niby w porządku — niebo, letni poranek, cisza, przyjaciel zapraszający na cmentarz, czemu nie, można i na cmentarz, pochowaliśmy tam niejednego z bliskich nam kiedyś ludzi. A jednak niepokoi mnie Budryn, czuję, że chce mnie w coś wplątać.

— Podskoczmy samochodem?

— Pan doktor, jak zawsze, uprzejmy, ale ja myślę, że na cmentarz powinno się per pedes apóstolorum.

Uśmiecha się przyjemnie. Mijamy furtkę, wychodzimy na słoneczną uliczkę.

Jeden tylko diabeł wie, do czego Budryn zmierza, wco my się zaczynamy „bawić”? Na razie maszerujemy zgodnie w stronę rynku, jak za dawnych lat, po wojskowemu, noga w nogę. Budryn z bukieciem róż, a ja bez niczego. Początek naszej znajomości, a i ciąg dalszy przypomina pogmatwany film, skiejał go partacz, mieszają się czas, zdarzenia i ludzie. Film idzie od końca, ale czasem od środka i nie wiadomo, co w rezultacie było pierwsze. Nie ulega wątpliwości, że zobaczyłem Budryna pierwszy raz w wojskowym szpitalu polowym, podczas kampanii wrześniowej. Jak wielu studentów Wydziału Medycznego, zgłosiłem się na ochotnika, myślałem — człowieka od śmierci nie uratuję, co mógł umieć student po roku wysłuchiwanie dość nudnych wykładów, ale przyda się każdy jako tako obyty z chłodem reformem, jodłową i aspiryną, a nawet mascią ichtiolową. Mało zdziałalem w szpitalu polowym na kółkach, cofaliśmy się cały czas, zawsze gdzieś uciekaliśmy przed wrogiem, ale któregoś dnia zatrzymaliśmy się na dłużej. Zapamiętałem jęki rannych, dobre, delikatne dźwięki siostr, soczysty język żołnierzy, którzy trzymali się niezłej kuchni i mieli broń szpitala w razie czego, ale nigdy nie bronili. Krytycznego dnia zabrakło nam benzyny, karetki stały bezużyteczne, skrobałem bodaj ziemniaki, kiedyś dowódca wezwał wszystkich na naradę. Trudno taki moment zapamiętać. Przed szkolny budynek wyszedł dowódca szpitala, podpułkownik, z nim dwaj lekarze. Szef oświadczył, że nie będziemy się już dalej cofać, ponieważ jesteśmy otoczeni, zostaje wobec tego sam z siostrami, a reszta musi się przebić do naszych. Jeden z oficerów lekarzy cisnął o ziemię skrwawionym fartuchem, pamiętam doskonale ten gest rozpacz, a i słowa zapamiętałem — nie ma nie-woli, jest wojna. To był Budryn, młody Budryn w randze porucznika.

Wkraczamy na rynek, Budryn oddaje gesty ukłony i pozdrowienia, słońce idzie w górę, będzie gorąco, więc się przez chwilę o rzece, dołkach pod lasem, brały tam zawsze złotawe liny, tuż przy trzebach, jęce, płocie i oknie. Leżeliśmy godzinami na piasku, cichy śpiew rzeki, szum trzebach, poplukiwanie ryb — to wszystko teraz do mnie powraca, poplątane, bez początku i końca.

Zdaje się, że zaczynam rozumieć Budryna. Jest związany na śmierć i życie z dawnymi latami, nie może, już nie potrafi się od nich oderwać. Mój przyjazd tylko utrwała ten związek z cieniami, że zmarli. Budryn, zaprzeczając bez reszty minione, znalazł we mnie autentycznego świadka, ponieważ pochodzę sprzed wielu lat, z jego lat.

— Co drugi człowiek ci się kłania, z czego wnoszę, że tu teraz więcej cenią lekarzy niż wariatów.

Tym żartem pragnę rozczuć od mogły naszego pierwszego pacjenta. Książd kanonik, nie ma obawy, stoi na pewno obok Kościuszki i patrzy na nas z nieba.

Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta. Pracowałem z Budrynem przez wojenne lata, taka nigdy nie sformalizowana spółka medyczna z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością za życie ludzkie, ale ten pierwszy umknął mi pamięci. Na razie wciąż jeszcze pozostaje na plebanii, nie umiem jej opuścić. Szarpnel rozerwał mi udo, nie nazbyt zresztą groźnie. Pojawił się Budryn w lichym garniturku, typowy cywil, oczyścił ranę, odprowadził ropę, szły mięśnie i skórę, bandażował, zmieniał opatrunki, a ja leżałem w muzeum księdza kanonika i jeśli mogła mi się przytrafić śmierć, to tylko z upływu krwi. Leżałem więc, słuchałem zegarów i patrzyłem na świątki. Książd kanonik zbierał je z tą samą pasją, co i zegary. Odwiedzał chłopskich rzeźbiarzy, szperal po zakrytych, wyjmował nikomu już niepotrzebne Chrystusiki, Floriany — z walących się i zapomnianych kapliczek, układał starannie na wozie, ciągnął chłopskimi konikami do swojego muzeum.

— Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta.

— A co pamiętasz?

— Świątki księdza kanonika Morawca.

— Nie pamiętasz magazyniera?

Budryn wygląda na zdziwionego. Kładzie białe-czerwone róże na mogile. Krzyż dębowy, świeży, jakby go nie dalej niż wczoraj osadzono w ziemi, grób obłożony staranym cieniem. Czytam srebrne litery na czarnej tabliczce i od razu powraca pamięć. „Józef Fabijański, 1900—1940”. Mało słów wymyślił potomni na cześć Fabijańskiego.

— Chudziutki ten napis, za chudy, jak na takiego człowieka.

— Najszubiej starzeje się wdzięczność, mój drogi. Józef uzbudził całą okolicę jedną ręką.

Budryn zamyślił się. Wiem, że bardzo chciał Fabijańskiego ratować, ale w gruncie rzeczy był bezsilny.

— Aż dziw bierze, że się tak bardzo zbliżyły do nas cmentarze, zawsze były gdzieś daleko.

Nie mogą się z jego zdaniem zgodzić.

— To chyba tylko kwestia pokoleń. Za naszych czasów umierało się rzadziej pojedynczo, częściej plutonami, batalionami, pułkami, dzielnicami i miastami. Dzisiaj strzeże tych grobów młodzież, która się rodzi, a nie umiera.

— Może masz rację, a może nie, zobaczymy później. Na razie muszę wracać do moich wariatów. Obiad dostaniesz za darmo od gosposi, wróć przed wieczorem. No, to cześć!

3.

Pomocnikiem Budryna zostałem dzięki Fabijańskiemu, tak to wygląda w moim filmie. Mroźna noc, dzień pierwszy Bożego Narodzenia. Książd kanonik już obszedł swoich wiernych z opłatkiem, moja wdowa — nie wdowa, plakala ku wieczorowi coraz rozpaczliwiej, a za oknem

I nagle wszystko mi się przypomina. Najpierw zegary na plebanii, może pięćdziesiąt, może sto. Książd kanonik gro-madził je latami, w lichej sutannie odwiedzał dwory, kamieniczników, właścicieli „interesów” rzeźniczych, stolarskich, starych rzemieślników i stare rodziny mieszczańskie, skupował gdzie się dalo cykadka — barokowe, rokokowe, klasycystyczne, drewniane z kukulkami, złoczone, marmurowe, wiszące, stojące i leżące. Niektóre straciły poczucie realnego czasu, ale grały nadal rozmaite melodijki, kuranty polskie i obce, kukały kukulki pomiędzy godzinami, czasem wszystko milkło, słyszałem monotonne, barwne tykanie, które przywracało mi życie, osadzało mnie w prawdziwym, spóźnionym lub też przyspieszonym czasie, może istnienie zyskiwało swoje urojone albo prawdziwe sekundy, minuty, godziny.

— No, chodź, musisz zacząć od mogły naszego pierwszego pacjenta. Książd kanonik, nie ma obawy, stoi na pewno obok Kościuszki i patrzy na nas z nieba.

Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta. Pracowałem z Budrynem przez wojenne lata, taka nigdy nie sformalizowana spółka medyczna z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością za życie ludzkie, ale ten pierwszy umknął mi pamięci. Na razie wciąż jeszcze pozostaje na plebanii, nie umiem jej opuścić. Szarpnel rozerwał mi udo, nie nazbyt zresztą groźnie. Pojawił się Budryn w lichym garniturku, typowy cywil, oczyścił ranę, odprowadził ropę, szły mięśnie i skórę, bandażował, zmieniał opatrunki, a ja leżałem w muzeum księdza kanonika i jeśli mogła mi się przytrafić śmierć, to tylko z upływu krwi. Leżałem więc, słuchałem zegarów i patrzyłem na świątki. Książd kanonik zbierał je z tą samą pasją, co i zegary. Odwiedzał chłopskich rzeźbiarzy, szperal po zakrytych, wyjmował nikomu już niepotrzebne Chrystusiki, Floriany — z walących się i zapomnianych kapliczek, układał starannie na wozie, ciągnął chłopskimi konikami do swojego muzeum.

— Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta.

— A co pamiętasz?

— Świątki księdza kanonika Morawca.

— Nie pamiętasz magazyniera?

Budryn wygląda na zdziwionego. Kładzie białe-czerwone róże na mogile. Krzyż dębowy, świeży, jakby go nie dalej niż wczoraj osadzono w ziemi, grób obłożony staranym cieniem. Czytam srebrne litery na czarnej tabliczce i od razu powraca pamięć. „Józef Fabijański, 1900—1940”. Mało słów wymyślił potomni na cześć Fabijańskiego.

— Chudziutki ten napis, za chudy, jak na takiego człowieka.

— Najszubiej starzeje się wdzięczność, mój drogi. Józef uzbudził całą okolicę jedną ręką.

Budryn zamyślił się. Wiem, że bardzo chciał Fabijańskiego ratować, ale w gruncie rzeczy był bezsilny.

— Aż dziw bierze, że się tak bardzo zbliżyły do nas cmentarze, zawsze były gdzieś daleko.

Nie mogą się z jego zdaniem zgodzić.

— To chyba tylko kwestia pokoleń. Za naszych czasów umierało się rzadziej pojedynczo, częściej plutonami, batalionami, pułkami, dzielnicami i miastami. Dzisiaj strzeże tych grobów młodzież, która się rodzi, a nie umiera.

— Może masz rację, a może nie, zobaczymy później. Na razie muszę wracać do moich wariatów. Obiad dostaniesz za darmo od gosposi, wróć przed wieczorem. No, to cześć!

3.

Pomocnikiem Budryna zostałem dzięki Fabijańskiemu, tak to wygląda w moim filmie. Mroźna noc, dzień pierwszy Bożego Narodzenia. Książd kanonik już obszedł swoich wiernych z opłatkiem, moja wdowa — nie wdowa, plakala ku wieczorowi coraz rozpaczliwiej, a za oknem

śnieg, zadymka, mróz. Budryn wpadł do mnie niespodziewanie, pamiętam — biegliśmy przez rynek, ście-gala nas kołoda — Stille Nacht, heilige Nacht, alles schlaft, einsam wacht, Budryn przyspieszał, a ja — a nim, na ile pozwalała mi świeża zaleczona noga. Film nie jest w tym miejscu jasny, widzę jednak trochę jak przez mgłę, pokój zagradowany przez Budryna, on sam myje ręce w zwykłej misce, na stole komplet instrumentów chirurgicznych. Ciemno, palą się tylko dwie lampy naftowe i karbidowa pyka nieregularnie. Na kanapie leży mężczyzna, prawa ręka owinięta zakrwawionymi bandażami. Oczy zamknięte, usta zaciśnięte bólem. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że to Fabijański leży, skąd mogłem to wiedzieć?

— Będziesz podawał instrumenty i opatrunki. Umiesz przygotować?

Budryn od razu zaczął do mnie mówić przez — ty.

— Postaram się.

Myję ręce, wkładam gumowe rękawiczki, Budryn zrywa brudne bandaże, uprzedza Fabijańskiego, że będzie bolało, nie mamy na razie żadnych środków znieczulających.

Mileję, co mogłem innego wtedy zrobić. Fabijański nie słyszał słów Budryna, ale chyba szybko odzyskał przytomność, to był twardy człowiek. Na taśmie nowy kadr, zmienia się sytuacja, widzę człowieka w lichym paletku, podsztywny wiatrem i cyklistów. To Poświat. Jest podniecony, zasypuje Budryna pytaniami — co będzie z Fabijańskim, kiedy wróci do normalnego stanu i zacznie działać?

I Budryn odpowiada, to jego obowiązek.

— Nigdy, przeszłość nikt odmienić nie może, nawet lekarz, prawa dłoń pana Fabijańskiego należy do przeszłości.

— To niemożliwe, potrzebujemy ludzi!

— Niech go pan stąd zabierze, póki żandarmi pijani.

Fabijański podnosi się sam, zna prawdę o swojej prawej dłoni, nie nią już nie uchwyci, ani sierpa, ani dłoni kobiety. Poświat mówi, mówi bez przerwy, słowotokiem — kto będzie gromadził broń, kto ją przemyci w oznaczone miejsce, lud nie może stanąć do walki bez prawej dłoni Fabijańskiego i tak wyszła prawda o naszym pierwszym pacjencie. Poświat jej wcale przed nami nie ukrywał, bo i po co? Fabijański początkowo sam zbierał broń po lasach, na polach bitew i polityczek Września, konserwował pieczętowlowice, miał przygotowanie, był plutonowym rusznikarzem, a co zebrał, upychał początkowo na cmentarzu. Rzecz prosta w grobowcach najbogatszych, ci zostawiali zawsze rezerwowę nisz dla swoich następców, więc Fabijański miał gdzie ukrywać karabiny, amunicję, bywało używał nawet metalowych trumien, jeżeli po zmarłym nie już prawie nie zostało. Kiedy się zmówili z Poświatem — tego nie wiem, ale chyba szybko. Działali w jakiejś grupie, może już określonej co do swoich głównych celów, a może jeszcze nie wykrystalizowanej? Trudno powiedzieć. Czas rozmazał twarz Fabijańskiego, nie pamiętam, jak wyglądał, ale wiem, że w kilka miesięcy później rozerwał go znaleziony granat.

Zamrożona pamięć taje w ciepłym dniu lata. Fabijańskiemu zawdzięczam przyjeżdż z Budrynem, a więc i dalsze przeżycia. Za godzinę przywiedną róże na mogile, jutro wyschną, śmieciem się staną za kilka dni. Obok grobowiec Nadborów. Stara, solidna robota, granit koloru ciemnej pomarańczy, żelazny parkan. „Seweryn Maciej Nadbór, 1890—1950, abut, non obit”. Tyle zostało po rejeńce. Nie wierzę łacińskiemu napisowi, to najbardziej kłamliwe słowa, odszedł ale pamięć o nim nie zagaśnie? Śmieszne i gorzkie zarazem, ktoś w tym

mieście pamięta jeszcze rejeń-ta Nadbora? Chyba tylko Budryn. Obok rejeńta spoczywa jego żona, leżą starsze pokolenia Nadborów, ale żadna tablica nie każe pamiętać o Monice. Żyje więc, a jeśli żyje, to gdzie? Co robi? Straciłmy wszelki kontakt wiosną 1945 roku, tuż po zakończeniu wojny, zamknęliśmy wszystkie bramy nadziei, pogriewaliśmy się na wieki. Tak przynajmniej myślałem wtedy. Krucho okazały się nasze słowa, nasze przysięgi, starczyło nam wierności na kilka lat. Monika nie mówiła wiele, była skondensowana wewnętrznie, oszczędna w gestach, ale równocześnie namiętna.

Teraz, kiedy stoję przy grobowcu Nadborów, powraca do mnie tamta Monika pod wszystkimi postaciami, śniada latem, różowa po miłośnym wysiłku, senna, gwałtowna, szmatyczna, spada na mnie zapachem swojego młodego ciała.

— Pan może krewny Nadborów?

Wygrzebuje się opornie z przeszłości. Skądże znam ten głos? Stoi obok mnie po środku cmentarnej alei posiwiała kobieta, żałobna i smutna, ubrana w czarną suknię. W ręku trzyma bukiet polnych kwiatów.

— Nie, proszę pani, siadłem tu, po prostu, ustalem z gorącą, a laweczka wygodna.

— Obserwuję pana od wczoraj, autobus przystaje pod moim oknem. Kładłście dzisiaj kwiaty na grobie Fabijańskiego. To był dobry człowiek, ale zbierał broń i rozerwał go.

— Położyliśmy kwiaty na grobie naszego pierwszego pacjenta.

Patrzy na mnie z wyrzutem.

— Dlaczego nie posłaliście na grób swojego męża?

— Nie znam pani męża i pani nie znam.

— Przez pana kwiatów mi nigdy nie starcza.

— Nie rozumiem. Mieszkaliśmy tu kiedyś, bardzo dawno temu, znam niektórych ludzi i to, wszystko.

— U kogo pan mieszkał?

Cóż ukrywać, chowałem się, mówię ogólnikami. Największe oszustwa kryją się właśnie w ogólnikach.

— U pani.

— Wiedziałam od razu, od lat stoję w oknie i patrzę na ludzi. Łatwiej ich poznaję, pana poznałam w pierwszej sekundzie, szrama na szyi, lewa noga trochę szybsza, prawa wolniejsza. Doktor Budryn pana leczył, mnie też leczy na nerwy.

— To dobry lekarz, prawda?

— Bardzo dobry, a pan był wtedy zły, choć może nie wiedział pan o tym. Cierpię za nasze wspólne grzechy, myślałam, że mój mąż nie żyje, a on żył, jednakże pisał mu do mnie nie pozwalali, front nas rozdzielił. A jak wrócił, to nie był ten sam, skóra i kości, leży w trzeciej alejce. Doktor Budryn nie mógł poradzić, a jak on nie może, to już trzeba żegnać świat. Nieszczęście zaczęło się od pana, ale ja panu wszystko wybaczyłam. Do widzenia, Bóg z panem.

Odechodzę z cichą modlitwą na ustach. Jest mi gorzko, przeszłość przybrała trudną do odpędzenia postać wyrzutów sumienia. Zostałem kołchanem sierzantowej dokładnie drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, podczas zawału, kiedy mróz rozsadzał drzewa i zamienił w kamienie resztki palców Fabijańskiego.

Spoglądam na zegarek. Czas wracać, dość tej rozmowy z umarlami, nie zresztą nie trwa wiecznie, w tym samym stanie, podnoszą się i upadają ludzkie nadzieje, wdowie przybyło zmarszczeń i łez, mnie tylko zmarszczeń. Prawie biegnę przez rozżarzzone miasto, mijam szybko nowe domy, szkoły, kombinat mleczarski, jak bym mijał lata. Budryn stoi u progu swojej willed.

— Popatrz, mój drogi, jak to jest, jeden się spóźnił, drugi przyszedł za wcześnie, a jednak spotkali się na czas. Mój szybko ręce, obiad na stole!

2.

— Każdy człowiek, a już

zwłaszcza taki wielki jak ty, musi złożyć kwiaty na cmentarzu poległych, patriotyczny obowiązek, mój drogi.

— Jasne, wielki czy mały, każdy ma swoje groby.

Przeglądam się uważnie Budrynowi. Kręci się po swoim ogrodzie i tnie kwiaty. Mamy piękny poranek, niebo delikatne, jakby dzisiejszym jego twórcą błękitu nie starczyło. Znak, że dzień będzie gorący.

— A jednak nie rozumiem, dlaczego musimy zaczynać od cmentarza. Nie lepiej od czegoś weselszego?

— Trzeba od cmentarza, sam do tego przekonania dojdiesz.

Skomponował imponujący bukiet biało-czerwonych róż. Wszystko niby w porządku — niebo, letni poranek, cisza, przyjaciel zapraszający na cmentarz, czemu nie, można i na cmentarz, pochowaliśmy tam niejednego z bliskich nam kiedyś ludzi. A jednak niepokoi mnie Budryn, czuję, że chce mnie w coś wplątać.

— Podskoczmy samochodem?

— Pan doktor, jak zawsze, uprzejmy, ale ja myślę, że na cmentarz powinno się per pedes apóstolorum.

Uśmiecha się przyjemnie. Mijamy furtkę, wychodzimy na słoneczną uliczkę.

Jeden tylko diabeł wie, do czego Budryn zmierza, wco my się zaczynamy „bawić”? Na razie maszerujemy zgodnie w stronę rynku, jak za dawnych lat, po wojskowemu, noga w nogę. Budryn z bukieciem róż, a ja bez niczego. Początek naszej znajomości, a i ciąg dalszy przypomina pogmatwany film, skiejał go partacz, mieszają się czas, zdarzenia i ludzie. Film idzie od końca, ale czasem od środka i nie wiadomo, co w rezultacie było pierwsze. Nie ulega wątpliwości, że zobaczyłem Budryna pierwszy raz w wojskowym szpitalu polowym, podczas kampanii wrześniowej. Jak wielu studentów Wydziału Medycznego, zgłosiłem się na ochotnika, myślałem — człowieka od śmierci nie uratuję, co mógł umieć student po roku wysłuchiwanie dość nudnych wykładów, ale przyda się każdy jako tako obyty z chłodem reformem, jodłową i aspiryną, a nawet mascią ichtiolową. Mało zdziałalem w szpitalu polowym na kółkach, cofaliśmy się cały czas, zawsze gdzieś uciekaliśmy przed wrogiem, ale któregoś dnia zatrzymaliśmy się na dłużej. Zapamiętałem jęki rannych, dobre, delikatne dźwięki siostr, soczysty język żołnierzy, którzy trzymali się niezłej kuchni i mieli broń szpitala w razie czego, ale nigdy nie bronili. Krytycznego dnia zabrakło nam benzyny, karetki stały bezużyteczne, skrobałem bodaj ziemniaki, kiedyś dowódca wezwał wszystkich na naradę. Trudno taki moment zapamiętać. Przed szkolny budynek wyszedł dowódca szpitala, podpułkownik, z nim dwaj lekarze. Szef oświadczył, że nie będziemy się już dalej cofać, ponieważ jesteśmy otoczeni, zostaje wobec tego sam z siostrami, a reszta musi się przebić do naszych. Jeden z oficerów lekarzy cisnął o ziemię skrwawionym fartuchem, pamiętam doskonale ten gest rozpacz, a i słowa zapamiętałem — nie ma nie-woli, jest wojna. To był Budryn, młody Budryn w randze porucznika.

Wkraczamy na rynek, Budryn oddaje gesty ukłony i pozdrowienia, słońce idzie w górę, będzie gorąco, więc się przez chwilę o rzece, dołkach pod lasem, brały tam zawsze złotawe liny, tuż przy trzebach, jęce, płocie i oknie. Leżeliśmy godzinami na piasku, cichy śpiew rzeki, szum trzebach, poplukiwanie ryb — to wszystko teraz do mnie powraca, poplątane, bez początku i końca.

Zdaje się, że zaczynam rozumieć Budryna. Jest związany na śmierć i życie z dawnymi latami, nie może, już nie potrafi się od nich oderwać. Mój przyjazd tylko utrwała ten związek z cieniami, że zmarli. Budryn, zaprzeczając bez reszty minione, znalazł we mnie autentycznego świadka, ponieważ pochodzę sprzed wielu lat, z jego lat.

— Co drugi człowiek ci się kłania, z czego wnoszę, że tu teraz więcej cenią lekarzy niż wariatów.

Tym żartem pragnę rozczuć od mogły naszego pierwszego pacjenta. Książd kanonik, nie ma obawy, stoi na pewno obok Kościuszki i patrzy na nas z nieba.

Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta. Pracowałem z Budrynem przez wojenne lata, taka nigdy nie sformalizowana spółka medyczna z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością za życie ludzkie, ale ten pierwszy umknął mi pamięci. Na razie wciąż jeszcze pozostaje na plebanii, nie umiem jej opuścić. Szarpnel rozerwał mi udo, nie nazbyt zresztą groźnie. Pojawił się Budryn w lichym garniturku, typowy cywil, oczyścił ranę, odprowadził ropę, szły mięśnie i skórę, bandażował, zmieniał opatrunki, a ja leżałem w muzeum księdza kanonika i jeśli mogła mi się przytrafić śmierć, to tylko z upływu krwi. Leżałem więc, słuchałem zegarów i patrzyłem na świątki. Książd kanonik zbierał je z tą samą pasją, co i zegary. Odwiedzał chłopskich rzeźbiarzy, szperal po zakrytych, wyjmował nikomu już niepotrzebne Chrystusiki, Floriany — z walących się i zapomnianych kapliczek, układał starannie na wozie, ciągnął chłopskimi konikami do swojego muzeum.

— Nie pamiętam naszego pierwszego pacjenta.

— A co pamiętasz?

— Świątki księdza kanonika Morawca.

— Nie pamiętasz magazyniera?

Budryn wygląda na zdziwionego. Kładzie białe-czerwone róże na mogile. Krzyż dębowy, świeży, jakby go nie dalej niż wczoraj osadzono w ziemi, grób obłożony staranym cieniem. Czytam srebrne litery na czarnej tabliczce i od razu powraca pamięć. „Józef Fabijański, 1900—1940”. Mało słów wymyślił potomni na cześć Fabijańskiego.

— Chudziutki ten napis, za chudy, jak na takiego człowieka.

— Najszubiej starzeje się wdzięczność, mój drogi. Józef uzbudził całą okolicę jedną ręką.

Budryn zamyślił się. Wiem, że bardzo chciał Fabijańskiego ratować, ale w gruncie rzeczy był bezsilny.

— Aż dziw bierze, że się tak bardzo zbliżyły do nas cmentarze, zawsze były gdzieś daleko.

Nie mogą się z jego zdaniem zgodzić.

— To chyba tylko kwestia pokoleń. Za naszych czasów umierało się rzadziej pojedynczo, częściej plutonami, batalionami, pułkami, dzielnicami i miastami. Dzisiaj strzeże tych grobów młodzież, która się rodzi, a nie umiera.

— Może masz rację, a może nie, zobaczymy później. Na razie muszę wracać do moich wariatów. Obiad dostaniesz za darmo od gosposi, wróć przed wieczorem. No, to cześć!

3.

Pomocnikiem Budryna zostałem dzięki Fabijańskiemu, tak to wygląda w moim filmie. Mroźna noc, dzień pierwszy Bożego Narodzenia. Książd kanonik już obszedł swoich wiernych z opłatkiem, moja wdowa — nie wdowa, plakala ku wieczorowi coraz rozpaczliwiej, a za oknem

KSIAŻKA

NIEPOSPOLITE KOBIEТЫ

Nowa książka autora „Z dziejów obyczajów polskich w wieku XVII i pierwszej połowy XVIII” zawiera osiemnaście portretów — biografii niepospolicich niewiast polskich XVI, XVII, XVIII wieku. Może nasuwać się pytanie, dlaczego Zbigniew Kuchowicz wybrał te trzy stulecia pomijając kobiety polskiego Średniowiecza. Z pewnością nie tylko dlatego, że niełatwo znaleźć w średniowieczu przypadki zdominowania mężczyzny przez biąłogłowy, ale chyba i także dlatego, że niewiele mieliśmy w tamtych daw-

nych czasach wybitnych niewiast. Oprócz królowej Kingi i królowej Jadwigi nie bardzo mamy się kim pochwalić. Postać Esierki jest kontrowersyjna, niektórzy historycy uważają wiążące się z nią opowieści za wręcz legendarne. W dobie feudalnej w XII wieku i wczesnej dyskryminowano kobiety. Przyczyn niechęci należy szukać w głębokiej przeszłości. W pismach Ojców Kościoła można znaleźć wiele zarzutów pod adresem kobiety uważanej za źródło pokusy dla świętości i będącej instrumen-

tem Kusiela. Całe przekleństwo cielesności zostało przypisane i zrzucone na kobietę. Warto przypomnieć porzekadło, które cytuje Tomasz Mann w „Doktorze Faustusie”, że „piękna kobieta jest jako złoty pierścień w świątym ryju”. „Wizerunki niepospolicich kobiet” otwiera portret Barbary Radziwiłłówny, najpopularniejszej chyba jeszcze dzisiaj postaci kobiecej spośród koronowanych niewiast polskich. Autor stara się wyważyć sprawiedliwie surowe na ogół sądy moralistów i historyków, którzy piętnują swobodny (mówiąc eufemistycznie) tryb życia Barbary Radziwiłłówny przed poznaniem Zygmunta Augusta, oraz idealizujący Barbarę mit, który jeszcze w szerokich kręgach społecznych. Znaczenie jednak przysłowiowego złotego środka nie jest łatwe. Kuchowicz raczej skłonny jest usprawiedliwić swobodę obyczajów pięknej Litwinki, kwestionując przesadne niewątpliwie oszczerstwo o jej 38 kochankach i ostatecznie widzi w swawolnej wojewodzience „prekursorkę odmiennego stylu życia”. Można co do tego wysunąć zastrzeżenie, gdyż nawet cytowany przez Kuchowicza obrońca królowej Ludwik Hieronim Morstin mówi o Barbarze jako o kobiecie, która ze wspaniałym gestem wielkiej „kurtyzany” Renesansu szła przez życie, a to już zmienia postać

rzeczy. Wielkie damy lekkich obyczajów znane były od czasów Messaliny słynnej z rozwiązłości, trudno więc mówić o prekursorstwie, nawet jeżeli przyjąć, że Barbara już jako królowa lekceważyła etykiety dworskiej i rewolucjonizowała zasady życia rodzinnego i towarzyskiego. Nie mogę wybaczyć autorowi, że wśród osiemnastu portretów nie znajdujemy szkieletu o królowej Bonie. Skoro jest wśród nich cudzoziemka Ludwika Maria, to dziw pominięcie wielkiej Bony, co do której materiałów nie brakuje, gdyż Kuchowicz powołuje się wielokrotnie w przypisach na studia o tej znakomitej i zasłużonej dla polskiego Renesansu królowej. Ze studium o Beacie Kościeleckiej można wysnuć wniosek, że autor preferuje z czasów Renesansu kobiety energiczne, przedsiębiorcze, dumne i samodzielne, przy czym nie raz staje w ich obronie pomimo negatywnych sądów historyków XIX i pierwszej połowy XX wieku. Drugą, bardziej wybitną niż słynna postać kobieca była ambitna królowa Ludwika-Maria Gonzaga, żona króla Władysława IV, a po jego śmierci — małżonka króla Jana Kazimierza, który poślubił podstarzałą wdowę po swym przyrodnim bracie. W tym niedobrym stad-

Ludwika-Maria, tolerując romansowe przygody drugiego męża, poważniej niż on traktowała swe obowiązki królowej. Starala się wpływać na bieg spraw państwowych, a nawet usiłowała przeprowadzić reformy ustrojowe, zniesienie liberum veto, wzmocnienie władzy króla przez ograniczenie wszechwładzy możnowładców i ustanowienie ekecji nowego króla za życia panującego monarchy. Tych słusznych reform nie udało się Ludwice-Marji urzeczywistnić. Nie rozumiejąc nastrojów i tradycji szlacheckich królowa wzbudzała swymi metodami działania, obcymi szlachcie, niechęć. Kuchowicz przytacza charakterystyczny wiersz będący parodią pacyfisty skierowanego rzeźwio królowej: Nie zdrowaś, Ludwiko, Francuska Maryjo, W Polsce łaski niepełna, piekielna Harpio! Diabeł z tobą, nieszczesna między Polakami! Owoc żywota twego bodaj nie był z nami... itd. Diametralnie różna była piękna Julia z Lubomirskich Potocka, którą zwano Gioletta la bella, jedna z wielu z kręgu wytwornych dam otaczających ostatniego króla, Stanisława Augusta. Opisując tę niezwykłą panią i jej romantyczny związek z Eustachym Sanguszką

nie zapomina pokazać nam obyczajowego — zepsucia panującego w XVIII wieku. Julia była pod tym względem wyjątkiem i wzbudzała podziw swą upartą wiernością dla męża, Jana Potockiego, chociaż on „nad miłość oddanej mu żony przynosił miłość nieodstępnej Turka Ibrahima”, jak pisał świetny stylista Stanisław Wasyłowski. Ale i piękna Julia zaznała wielkiej romantycznej miłości, a jej Romeo, Eustachy Sanguszko pragnąc po raz ostatni ujrzeć ukochaną (która zmarła w Krakowie, podczas gdy on walczył w obronie Warszawy), przedarł się przez korony pruskich i rosyjskich wojsk, zszedł do katakumb kościoła Marii Panny, otworzył wieko trumny i na widok Julii zemścił. Szczegóły tej romantycznej historii opisuje Kuchowicz w szkicu „Piękna Julia”. Wybrałem z osiemnastu trzy portrety niewiast, które (portrety!) przypadły mi szczególnie do gustu, ale mogę zapewnić zainteresowanych czytelników, że i pozostałe wizerunki zostały opracowane przez Kuchowicza nie mniej barwnie i atrakcyjnie. Zbigniew Kuchowicz — „Wizerunki niepospolicich niewiast staropolskich XVI—XVIII wieku”. Wydawnictwo Łódzkie. WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

FILM

WESTERN

Film, odebrałszy literaturze w wieku XX monopol na opowiadanie fabuł, jednocześnie od niej właśnie uczył się jego sposobów — opowieści historyczne i awanturnicze, psychologiczne i obyczajowe stały się jego udziałem kina, ale i dziedzictwem tradycji literackiej. I tak na dobrą sprawę, kino wypracowało sobie wyłącznie na swój rachunek jeden jedyny gatunek filmowy, był nim, oczywiście, western. Dzieje westernu są równie pasjonujące, jak niejedna westernowa opowieść, niosą w sobie historię kina, są równie wykładnikiem historii pewnego narodu, są interesujące jako niezwykle zjawisko socjologiczne. Western narodził się u początku kina (za pierwszy uznajemy

„Napał na express” E. Portera — 1903 r.) stał się natychmiast jednym z najbardziej faworyzowanych przez publiczność, nie tylko amerykańską, gatunkiem filmowym. Na przestrzeni siedemdziesięciu lat jego rozwoju widzowie szukali w nim zawsze tego samego — smaku wielkiej przygody, której to rzeczywistość cywilizacji wieku XX ją pozabawiała. W ciągu dziesięcioleci lat kino tworzyło mit Dziekiego Zachodu i jego bohaterów, mit który był wynikiem określonego zapotrzebowania, bań, której konwencji ściśle przestrzegano. Niewątpliwym twórcą wielkiej ekranowej legendy Dziekiego Zachodu był autor ponad stu westernów, sędziwy dziś John Ford. Spożycie na jego twórczość jest właściwie spojrze-

nem na dzieło westernu w ogóle; jego „Dyllans” uznano za modelową pozycję westernu klasycznego. „Kto zabił Liberty Valance’a?” był jednym z pierwszych filmów, które będąc westernami, zaczęły podważać i demaskować westernowe mity. „Jesień Cheyennów”, najdramatyczniej zakwestionowała to, co w ciągu dziesięcioleci lat sam John Ford i jego uczniowie dali światowej publiczności. Amerykanie odmitologizowali western, zaczęli go traktować jak opowieść historyczną. Trudno się temu dziwić, to, co dotąd na ekranach było legendą, w istocie było przecież historią, narodem. Próby obalenia tej legendy stały się zatem musiałą rewizją historii narodu i państwa, często oskarżeniem własnego społeczeństwa, odpowiedzialnego za to, co wprawdzie ukształtowało jego dzieje, jednakże obciążało sumienie winami niepodważalnymi. Z tego ducha zrodziła się wspomniana już „Jesień Cheyennów” Forda, w tej atmosferze powstał film A. Polonsky’ego „Tu był Willie Boy” — w pierwszym byliśmy świadkami biologicznego wyniszczenia plemienia indiańskiego, w drugim — pokazano moment, kiedy zwycięstwo białej cywilizacji stało się faktem. Pierwszy był próbą filmu historycznego, drugi — oskarżycielskim dramatem społecznym, którego tematem głównym był rasizm, a westernowy kostium nosicielem nie tylko treści historycznych. To krótkie wspomnienie west-

ternu byłoby jednak niepełne, gdyby nie odnotować jeszcze jednego, znamionowego trendu charakterystycznego dla najbliższych nam dróg rozwoju i przeobrażeń tego filmowego gatunku. Pozostawiam na boku parodie czy pastisze w rodzaju czeskiego „Lemoniadowego Joe” czy amerykańskiego „Kochajcie swojego szeryfa” — teigraszkę kino uprawia zawsze, są zresztą powszechnie lubiane. Chciałabym jednak wspomnieć „Księża Ballou”, gdzie komedia miesza się z gonimym, demaskatorskim smutkiem. Chciałabym zwrócić uwagę na film „Shalako”, w którym konwencja westernu jest przysłówiowym pieprzem pobudzającym smak konsumowania rozebranej Brigitte Bardot i męskich wdzięków Seana Connery’ego. „Złoty McKenny”, do którego duch „starego” westernu wnoszą Gregory Peck, „nowego” — Omar Sharif, blizujący się zębami i nagością. Chciałabym wreszcie zwrócić uwagę na film Josepha L. Mankiewicza „Był sobie łajdak”, który to film stał się właściwie przyczyną mych westernowych wspomnień. Co właściwie „zostało z tamtych lat?”. „Był sobie łajdak” — to naprawdę bardzo dobry film, niech nas jednak nie myli nazwiska Henry’ego Fondy, Kirka Douglasa, Burgessa Mereditha, niech nas nie myli cały westernowy sztafaż, który na reklamowych fotosach do-

strzegamy. „Prawdziwy” (to znaczy jak?) western nie długo oglądać chyba będziemy w klubach czy kinach studyjnych jako pozycję archiwalną. Może nam już western „prawdziwy” niepotrzebny, może „Rzeka Czerwona”, „Rio Bravo”, „Dwa złote colty” — to już filmy naszej młodości, może już nie tak jednoznacznie nie może być dobrem lub złem, jak to było w westernie klasycznym? Radujcie się wszystkimi smakami filmu „Był sobie łajdak” — jego atmosferą parawesternowskiej awantury, nawet dygnącością moralną głównych bohaterów i tego, w pierwotnym wzorze, szlachetnego i tego złego, chwytając wszystkie dociepny, przewrotne nawiązania do „starego” westernu, ciesząc się atmosferą wielkiej kpiny, podziwiałam robienie ciał w dobrej formie pozostającego weterana Hollywoodu — J. L. Mankiewicza. Zauważyłam jednak „tamtych lat” westernu, tego dziwnego uczucia, które nas ogarnia, gdy gasną w kinie światła i na ekranie zjawia się znany nam pejzaż, gdy muzyka zapowiada historię dwóch coltów, dwóch kowbojów i jednej, jasnowłosej dziewczyny, gdy echo niesie strzały, a Indianie galopują przez prerię. Czyżby tym wszystkim, co napisałam wyżej, przeczyła „sobie”?

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA KLASYCY WIECZNIE ŻYWI

Dzieła wybitne się nie starzeją. Znana to prawda, często potwierdzana, kiedy otwieramy książkę klasyka, oglądamy stary film czy kolejną interpretację wielkiego dramatu. Dzieła, które przed laty wyrażały prawdę o swoim czasie, nadal w jakimś sensie są aktualne,

bo ludzie odwiecznie zadają sobie te same pytania, nie znajdując odpowiedzi. *** Antoni Czechow należy właśnie do tych wiecznie młodych mistrzów, którym trzeba ufać, a WISNIOWY

SAD (obok „Wujaszka Wani” i „Trzech sióstr” najbardziej znany utwór sceniczny Czechowa) jest dramatem, który nie wymaga „unowocześniania” i specjalnych zabiegów inscenizacyjnych. Reżyser Maciej Prus przyjął takie założenie i odniósł zasłużony sukces. To co u Czechowa najważniejsze — czechowski klimat, wyciszenia, aura refleksyjności — otrzymaliśmy w kształcie nieskazanym. Jest to również zasługa aktorów, którzy koncepcje reżysera bezbłędnie zrealizowali. Aktorów wymienię, a wśród nich twórców ról pierwszoplanowych: Aleksandry Śląskiej i Władysława Kowalskiego. Śląska jest typową kobietą owego czasu, w którym umiera jedna epoka a zaczyna się druga, bo tak dyktuje rytm historii, który jest tak trudny do zauważenia bez czasowego dystansu. Jej wahania, rozterki, niezdeterminowa-

nie, brak poczucia rzeczywistości, wewnętrzne napięcie pod pozorem spokoju — to wszystko aktorka wygrała bezbłędnie. Również Władysław Kowalski przekonywająco przedstawił postać bardzo skomplikowaną. To z jednej strony trzeźwo myślący dorobkiewicz, ale również marzyciel, człowiek nie wolny od kompleksów, pamiętający o swojej trudnej przeszłości. Triumfujący ostatecznie, ale czy jest to pełne zwycięstwo o jakim mu chodziło? Te dwie kreacje aktorskie szczególnie się pamięta, ale również pozostali aktorzy (m. in. Zbigniew Zapasiewicz) mają swój wkład w to, co można bez przesady nazwać znakomitą spektaklem. *** Podobne wrażenia towarzyszyły mi w piątek, podczas oglądania spektaklu na

Scenie Prozy. Reżyser Ludwik Rene przedstawił JAKUBA wg „Rodziny Thibault” Rogera Martin du Garda. Znowu wielkiej klasy literatura i mimo, że były to fragmenty powieści — rzeki, nie odczuwało się sztuczności dialogów, nieskładności w rozwoju akcji scenicznej. Znowu otrzymaliśmy przykład pełnego porozumienia między dwoma autorami, pisarzem i inscenizatorem. I znów byliśmy świadkami aktorskiego sukcesu Andrzeja Seweryna, Andrzeja Kopiczyńskiego, Mieczysława Voita, Anny Seniuk i innych. Problemy przedstawione w JAKUBIE były nam bliższe. Dramat pestaw, sprawa wyboru, potwierdzenia własnych poglądów i aspiracji w sposób najbardziej ważki — bo własnym życiem. To problemy rzeczywiste nam bliższe, bo w

pewnym sensie mieszczące się w kręgu naszego doświadczenia chociaż sprawdzanego w zupełnie innych warunkach historycznych. W sumie i dla nas — poza ciekawą obserwacją psychologiczną i obyczajową — również moment do aktualnych przemysłów i refleksji. *** ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE. Pamiętacie Państwo ten radziecki film? Jakże nadal jest śmieszny, wzruszający. Ze zrozumiałą poprawką na czas i datę powstania filmu, — przynajmniej — jak mało się zestarzał. Dobrze, że nam ten film przypomniało. Nie samym chlebem żyje — śmiechem również. JAROSŁAW TARNO



PRZEPIS NA SUKCES

Ostatnie sukcesy to zwycięstwo w turnieju w Dortmundzie, zwycięstwo w międzynarodowych mistrzostwach zrzeszenia START w Bydgoszczy i po raz drugi zdobyta nagroda „srebrnej siatki” krakowskiej WISŁY. Mowa oczywiście o aktualnych mistrzyniach Polski — siatkarkach łódzkiego STARTU. Przy okazji, że drużyna ta od 1968 roku należy do czo-

łównych polskich zespołów siatkarskich, trzy razy pod rząd zdobywała Puchar Polski, na swoim koncie ma także wiele zagranicznych sukcesów, a m. in. w Czechosłowacji, Holandii, Francji, NRD, Rumunii i Włoszech oraz uczestnictwo w finale ubiegłorocznego Pucharu Europy.

Od 1964 roku drużyną łódzkich siatkarek opiekuje się mgr Andrzej Chmielnicki. Zaczął w dość niew-

dzięcznym momencie, bo trzeba przypomnieć, że w 1963 roku zespół STARTU spadł z pierwszej ligi do klasy okręgowej. Żeby powrócić do ekstraklasy trzeba było najpierw zdobyć mistrzostwo Łodzi. I już w sezonie 1964—1965 siatkarki STARTU wywalczyły w pierwszej lidze czwarte miejsce. W 1968 roku były mistrzyniami Polski.

Nowy trener pierwszoligowego zespołu STARTU u-

przednio opiekował się tym samym klubie drużyną juniorek, która zdobyła tytuł wicemistrza Polski juniorów. Z tego młodego zespołu mgr Andrzej Chmielnicki stworzył trzon nowej, pierwszoligowej drużyny. I bardzo szybko doszedł do wniosku, że utrzymanie się w pierwszej lidze i osiąganie coraz to lepszych wyników będzie możliwe tylko przy konsekwentnie realizowanej, innej niż dotychczas, koncepcji szkolenia. Z jego drużyny co roku odchodziła najczęściej z przyczyn osobistych przynajmniej jedna zawodniczka. Na ogół ta najlepsza. W tej sytuacji uznał, że trzeba postawić na cały zespół. Dobry, choć może mniej błyskotliwy poziom wszystkich zawodniczek dawał pewność, że nie będzie katastrofy, kiedy odejdą „gwiazdy”. Dalsze losy siatkarek STARTU dowiodły, że było to jedyne, najlepsze wyjście, choć nie najłatwiejsze.

Nowy system szkolenia opierał się na równomierniejszej pracy z całym zespołem i to przecież licznym. Na pewno wygodniej jest skoncentrować uwagę na kilku utalentowanych zawodniczkach, czekając spokojnie aż inne same dojdą do ich poziomu lub... odpadną. A przecież, nie ukrywajmy, sporo trenerów tak właśnie postępuje.

Dziś siatkarkom STARTU daleko wprawdzie jeszcze do wirtuozerii, jaką osiągnęły zespoły radziecki czy japoński, ale też nie mogą narzekać na brak sukcesów, ani ambicji. Chcą oczywiście utrzymać mistrzostwo Polski, marzą o odegraniu większej roli w Pucharze Europy. Może jeszcze nie w tym roku, może w przyszłym, a może za dwa lata. Moim zdaniem jest to cel realny, choć osiągnąć go nie będzie łatwo. Pamiętajmy przecież, że sport światowy wznosi się na coraz wyższy poziom. Siatkówka również. Żeby nadążyć za światową czołową trzeba jeszcze bardziej upowszechnić metody szkolenia. To jest oczywiste. Ale poza tym na co dzień trzeba się uporać z wieloma sprawami.

Trzeba przede wszystkim tak dopasować program treningu, aby uwzględnić warunki fizyczne i psychiczne poszczególnych zawodniczek, a jednocześnie dać w rezultacie jednolity styl gry całemu zespołowi. Na przykład tak pozornie prosta sprawa jak ustalenie harmonogramu zajęć i terminów zgrupowań wymaga jednak nie lada zręczności. Niektóre zawodniczki STARTU jeszcze studiują — trzeba więc brać

pod uwagę terminy sesji. Inne są z innymi, matkami i chcą mieć również czas na życie rodzinne. Bywa i tak, że na zgrupowanie zawodniczek wyjeżdżają razem z dziećmi, bo ich po prostu nie mają gdzie zostawić. Drobne to fakty, ale są, że powinni brać je pod uwagę kibice, szczególnie kiedy psoczą na nierówną grę zespołu.

Trener A. Chmielnicki nie ukrywa, że z kobietami pracuje się znacznie trudniej niż z mężczyznami. Nie można mierzyć sukcesów drużyny męskiej i kobiecej jedną miarką. Panie muszą włożyć o wiele więcej wysiłku, uporu i energii już choćby tylko dlatego, żeby jakoś pogodzić obowiązki domowe i sportowe. Specyfika sportu kobiecego, a już szczególnie sportu zespołowego, wymaga indywidualnego podejścia do każdej zawodniczki, wymaga pomocy lekarza i psychologa. To oni właśnie powinni decydować o intensywności treningu odpowiedniego dla każdej zawodniczki. Powinni pracować z trenerem na co dzień. Cóż tu jednak mówić o współpracy z psychologiem, kiedy klub nie ma masażysty. Dobrze, że chociaż raz w tygodniu siatkarki STARTU mogą korzystać z jedynej w mieście „gabinetu odnowy” w łódzkiej Hali Sportowej. Czy jednak godzinna wizyta w tym gabinecie zastąpi masażystę? Po forsownym treningu lub po meczu dobry masaż regeneruje siły zawodnika w blisko 40 proc., a nie od rzeczy będzie przypomnieć, że po każdym meczu traci się około 2 kg wagi. Nie ma jednak etatu dla masażysty, a nawet gdyby był, to i tak trudno masażystę znaleźć. Ponieważ są to powszechne narzekania łódzkich sportowców, zastanawiam się, jak ten problem rozwiązały inne polskie kluby. Bo, żeby u nas w ogóle nie było masażystów — nie wierzę.

We współczesnym sporcie coraz więcej znaczy pomoc specjalistów, a coraz mniej liczy się sam entuzjazm, dobre chęci i największy nawet wysiłek. Jeśli chce się zawodnika utrzymać stale w dobrej kondycji fizycznej, to trzeba byłoby mu zapewnić profilaktyczną opiekę lekarską, a nawet leczenie sanatoryjne po każdym sezonie. Tego, niestety, zawodniczki STARTU nie mają. Nie mają również dobrej szatni, nie ma miejsca dla jednoczesnego treningu kilku zespołów, od dłuższego czasu — mimo przygotowań przez klub planów i zgromadzonych funduszy — nie można doprosić się

łódzkich władz sportowych zgody na powiększenie sali. Dość powiedzieć, że kiedy w ubiegłym roku łódzki START był gospodarzem półfinału Pucharu Europy w siatkówce nie sprzedano ani jednego biletu na mecz. I to nie dlatego, że brakowało chętnych. Po prostu nie byłoby ich gdzie posadzić. Ograniczono się więc jedynie do kart wstępu, które można było przydzielić tylko wybranym. W tej sytuacji nie będzie przesady, jeśli się powie, że łódzka drużyna lepiej zna kibice zagraniczni i krajowi niż łodzianie. A już zupełnie niezrozumiałym jest dla mnie fakt, że łódzkie siatkarki, zapraszane na międzynarodowe turnieje i odnoszące tam sukcesy nie mogą przygotowywać się do tych spotkań ćwicząc obowiązkowymi na wszystkich międzynarodowych spotkaniach piłkami japońskimi. Bo takich nie posiadają.

Łódzka drużyna liczy się jednak na międzynarodowych boiskach. Dobrze pisze o niej prasa zagraniczna, cieszy się pochlebną opinią u fachowców. Wydawałoby się, że już to samo powinno wystarczyć do bliższego zainteresowania się tym zespołem. U nas jednak, jak to ktoś słusznie zauważył, czeka się najpierw na dobre wyniki, potem się myśli o stworzeniu właściwej bazy sportowej, a dopiero na końcu rodzi się koncepcja dalszej pracy. Nie muszę nikogo przekonywać, że jest to odwrócenie kolejności. Gdyby nawet przyjąć, że przyszłe losy siatkarek STARTU potoczą się według tego, nie najlepszego schematu, to obecnie znajdują się one ciągle jeszcze w punkcie wyjścia. Mają wyniki. Wydawałoby się, że w Łodzi, mieście kobiet, sport tak bardzo przecież kobiecy powinien cieszyć się popularnością i poparciem łódzkich władz sportowych. Od dawna głosimy tezę, że sport wychowawczy jest ukoronowaniem sportu masowego. W naszym, łódzkim warunkach jest to tylko czysta teoria. Nawet sport szkolny, który powinien być naturalnym zapleczem siatkówki nie spełnia tej roli, ze znanych przyczyn powszechnie przyczyn.

Jaki jest więc przepis na sukces? Żeby mieć taki przepis potrzeba byłoby współpracy całego sztabu specjalistów, trenera i zawodniczek. Trzeba jednak taki sztab mieć. Trzeba również stworzyć lepsze warunki do pracy. Na razie tego nie ma. Pozostaje więc upór, zapał, ambicja i optymizm. Tylko na jak długo to starczy?



PRZESTĘPSTWO ZA 3 GROSZE

Ludzie mają czas, zdrowie i pieniądze. Niedawno przed Sądem Powiatowym w Łasku toczyła się sprawa o zakłócenie posiadania. Kto, komu i co zakłócił? Okazuje się, że pani Z. zakłóciła posiadanie ustępu panu S. z Chechła. Otóż pan S., mimo młodego wieku, ma bardzo rozwinięte poczucie własności tego przybytku, zwanego przez mieszkańców przedmieść wytwornie wychodkiem.

— Ja kupiłem to dla siebie — oświadczył na rozprawie młody człowiek — i

uważam, że tylko ja mam prawo użytkowania.

Pani Z. zaprezentowała z kolei zupełnie inną koncepcję posiadania tych dwóch zer.

— Ponieważ jestem właścicielką połowy domu — stwierdziła — więc automatycznie i połowa ubikacji do mnie należy.

Dialog ten nie miał może płynnej kadencji szekspirowskiego dramatu, niemniej toczył się w tym stylu czas dłuższy. Rozprawa w pełni ujawniła, jak nadnaturalnych trzeba wysiłków, żeby zatłoczyć w podłódkiej miejscowości Chechła naturalną potrzebę. W końcu

dzentelmen z tegoż Chechła zaproponował damie, ażeby spróbowała korzystać z familijnej klozetki. Przecież w pobliżu, w tej samej wiosce, mieszka jej bliska rodzina, posiadająca taki sam przybytek i to w dodatku przez nikogo nie kwestionowany, więc wielokrotnie spacerując w tamtym kierunku (300 metrów) wyszłyby jej tylko na zdrowie.

W tym momencie ja wyszedłem z sali rozpraw. W tej sprawie bowiem ani orzeczenie nie jest istotne, ani przebieg sprawy nie jest ważny — wyłącznie charakterystyki ludzkie się tu liczą. A tych nie zmienia za-

den sąd, chyba że Sąd Ostateczny.

Ileż podobnych spraw zamula wokandę. O co ludzie się nie procesują? O jasko i to wcale nie Kolumba. Autentyczne. Kura zniosła jasko na podwórzu, zauważył to pies sąsiada, przybiegł i je pożarł. Już jest powód do dyskusji, rozprawy w sądzie. Inna sprawa toczyła się o kawałek gruntu, dosłownie o kawałek gruntu długości 100 cm i szerokości 20 cm. Jest to faktycznie mało, lecz jeśli weźmie się pod uwagę, że bądź co bądź chodzi tu o kawałek kuli ziemskiej...

Prawo jest dziwną i oryginalną dziedziną. Prawnicy od wieków usiłują wszystkie możliwe i ewentualne sytuacje przewidzieć i zamknąć w paragrafy. Zawsze im się jednak coś wymknie spod kontroli. Pies zjadł jasko za trzy złote, sprawa dotarła aż do sądu. Pewien ucziwy lub, powiedzmy dokładniej, dotychczas nie karany obywatel, przywłaszczając sobie rankiem mleko sprzed sklepu i trafił do kolegium, które mu wymierzyło karę grzywny w wy-

sokości 4.000 zł. Bardzo słusznie. Gdyby jednak to samo zrobił wielokrotnie karany przestępca, czyn taki uszedłby mu na sucho.

Rzecz polega na tym, że recydywiści nie mogą odpowiadać przed kolegium, lecz przed sądem. Sądy z kolei niechętnie bawią się w rozpatrywanie 5-złotowych przestępstw. Sądy zajmują się karaniem kradzieży od 500 złotych wwyż. Dzięki temu recydywiści znaleźli się nieoczekiwanie w bardzo dogodnej dla siebie sytuacji, drobne kradzieże do 499 zł i 99 gr są im niejako wybaczone. Życie więc raz jeszcze dowiodło, że jest bogatsze od kodeksu karnego.

W ubiegłym roku trafiłem akurat do Sądu Powiatowego dla m. Łodzi, gdzie właśnie rozpatrywano sprawę o kradzież butelki mleka wartości 5,40 zł. Oskarżonym był niejaki Ryszard Pietrzak, karany już uprzednio. Sąd usiłował mu się dobrać do skóry i za kradzież butelki mleka wymierzył mu karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Sąd Najwyższy jednakże umorzył karę, wy-



chodząc z założenia, że przestępstwo miało znikomą szkodliwość społeczną. Oczywiście oba wyroki są słuszne i bardzo mi się podobają. To tylko Ryszard Pietrzak mi się nie podoba. Gdyby był człowiekiem przyzwoitym, zapłaciłby wysoką grzywnę, a tak to się wymigał. Drań.

STEFAN PRAŻMOWSKI

Polityka na świecie

OSZAŁAMIAJĄCE PERSPEKTYWY

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — BOSTON

Gdy koła „AN-24” dotknęły betonowego lądowiska doznałam niezwykłego wzniesienia. A więc jestem na Syberii, czeka mnie moc interesujących przeżyć.

Można by powiedzieć, że jest to Alaska Związku Radzieckiego. Ogromne przestrzenie niezalesionej, błotnistej ziemi, a w jej wnętrzu największe w świecie zasoby ropy naftowej i gazu. Te niezmiernie bogactwa wydobywa się w przyspieszonym tempie nie tylko dlatego, żeby zaspokoić rosnące wciąż wewnętrzne zapotrzebowanie na paliwo, lecz także i po to, by zainteresować tym surowcem biznesmanów z zachodniej Europy, Stanów Zjednoczonych i Japonii.

Chociaż kupcy z Japonii i innych krajów byli już w tym rejonie Syberii, to jednak ja byłam pierwszą dziennikarką z burżuazyjnego świata, która przyjechała tutaj, by móc opowiedzieć światu, czego Rosjanie dokonują w syberyjskiej tajdze. A pracują oni tutaj z niezwykłą energią i uporem pionierów.

Po opuszczeniu samolotu znalazłam się od razu w samym centrum gorączkowej pracy i niebawem krzątającej się, tak specyficznych dla poczynąń zakrojonych na wielką skalę. Na betonowych pasach sjało chłeba z pół tuzina śmigłowców, używanych do transportu ciężkich ładunków, żywności i robotników.

Opodal, warząc piekłem, posuwał się drogą sznur potężnych ciężarówek terenowych, a za nimi całe mnóstwo zmechanizowanej „drobnicy”. Gęsty, nieustanny deszcz przemieniał świeżo rozkopaną ziemię w lepkie ciasto.

— Witam, jak się leciało? — spytał, wyciągając na powitanie rękę, wysoki, barczysty mężczyzna w roboczym ubraniu i nieprzemakalnym płaszczu. Był to Władimir Aleksiejewicz Abazarow, kierownik wydziału wydobywania ropy naftowej i gazu w rejonie Megion-skim. Abazarow powiedział, że oddano nas pod jego opiekę, ponieważ dyrektor Samotłora, najbogatszych złóż naftowych, które mieliśmy właśnie okazję obejrzeć, jest teraz na urlopie.

Po wzajemnych prezentacjach wsiedliśmy do dwóch radzieckich dżipów i pojechaliśmy do miasta. Po obu stronach drogi bezkres nieurodzajnej i bagnistej ziemi. Celem naszej podróży był czarujały, dwupiętrowy, drewniany hotelik „Samotlor”. Szczelnie otulony sosnowym lasem, oferował przybyłym wszelkie nowoczesne wygody.

By lepiej poznać chlubę Zachodniej Syberii — Samotlor, wsiedliśmy do mikrobusu i wyruszyliśmy w drogę. Samotłorskie złoża ropy naftowej należą do liczby sześciu największych w świecie, a jeśli chodzi o ich jakość — nie ustępują złożom, odkrytym w północnej Alasce.

Było wietrznie i chłodno, termometr wskazywał 14 stopni Celsjusza. Po niebie przewalały się czarno-szare chmury, od czasu do czasu siał deszcz. Jechaliśmy drogą wyłożoną płytami betonowymi, kontemplując w milczeniu posępny, monotony krajobraz. Jak okiem sięgnąć, nie przebyte żółto-zielone błota, niewielkie jeziora, niskopienne brzozy i jodłowe lasy. W oddali, z wysokiego komina, odprowadzającego gaz, z przerażającym rykiem buchał poma-

rańczowy płomień. Obraz surowy i majestatyczny.

Obejrzelismy oczywiście zaledwie małą część zachodniosyberyjskich terenów naftowych, ciągnących się z północy na południe na przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów i około półtora tysiąca kilometrów ze wschodu na zachód. Ich znaczenie dla ekonomiki radzieckiej jest ogromne. Najlepiej ilustrują to liczby. W ubiegłym roku w całej zachodniej Syberii wydobyto 44 miliony ton ropy naftowej. Do 1975 roku wydobyte ropy naftowej w tym rejonie wzrosło do 125 milionów ton, a w 1980 roku osiągnie 250 milionów ton. W ten sposób udział nafty syberyjskiej, który wynosił dziś 12 procent ogólnego wydobycia ropy naftowej w Związku Radzieckim, zwiększy się w 1975 roku do 25 procent, a w 1980 roku osiągnie ponad 33 procent ogólnego wydobycia ropy naftowej w ZSRR.

Samotlor, co w gwarze Sybiraków znaczy „martwa woda”, zawdzięcza swą nazwę ogromnemu jezioru, leżącemu w basenie Obu. Samotłorskie złoża — to prawdziwa perła i nic dziwnego, że prace wydobywcze rozwijają się w tak błyskawicznym tempie. Eksploatację samotłorskich złóż ropy naftowej rozpoczęto w 1969 roku. Wydobycie wtedy około miliona ton ropy. W 1971 roku wydobyte wzrosło już do 10 milionów, a w tym roku, jak powiedział Abazarow, przewyższy 21 milionów ton. W przyszłości, złoża, zalegające na powierzchni 500 kilometrów kwadratowych, będzie dostarczać 100 milionów ton ropy naftowej rocznie.

Rozwój rejonu nie ogranicza się wyłącznie do wiercenia szybów naftowych. Buduje się potężne rurociągi naftowe, szosy, drogi, szlaki kolejowe, systemy energetyczne, lotniska, przystanki rzeczne, fabryki, nowe miasta. Wszystko w niezwykle szybkim tempie. Zimą temperatura spada do minus 50 stopni Celsjusza, śnieżyce i potworne zawały są zjawiskiem codziennym. Latem dni są upalne, duszne, a nadlatujące z błot chmury komarów bardzo przeszkadzają w pracy.

— Ale najgorsza w tajdze jest topieł.

— Pod nogami nie mamy ziemi — mówi Abazarow, 42-

letni geolog z Krasnodaru. Błota i jeziora zajmują 80 procent terytorium Samotłora i bez uprzedniego przygotowania gruntu nie można zrobić kroku. Jedziesz samochodem po trawie i nagle widzisz, że pod tobą jezioro. Ale wtedy zaczynasz już tonąć.

Budowa dróg wymaga ogromnych nakładów i wielkiego wysiłku. Drogi muszą spoczywać na twardym podłożu. Dlatego też na wytyczonej trasie szosy czy autostrady trzeba zdejmować do dwunastu metrów ziemi powierzchniowej, żeby się dostać do warstwy wiecznej zmarzliny, a następnie zasypać ten głęboki wykop piaskiem i ziemią, dowożoną ze specjalnych miejsc. Dopiero na tak przygotowanym fundamencie układa się betonowe płyty sześciocątowej grubości. Jak poinformował nas Abazarow, w Samotlorze zbudowano już sto kilometrów betonowych szos i rozgałęzioną sieć dróg z okraglaków.

Po paru kilometrach jazdy zatrzymaliśmy się przy rozległym błotnistym wyrobisku, na którym stały cztery maszyny wiertnicze. Działają one około piętnastu szybów jednocześnie, każdy pod specjalnym kątem, na głębokość, średnio, dwa i pół kilometra. Kilka kilometrów dalej znaleźliśmy się wśród przedziwnych maszyn i urządzeń do eksploatacji ropy naftowej. Wiele przede wszystkim pięć ogromnych, cylindrycznych zbiorników naftowych, tak zwanych separatorów, następnie jakieś specjalne automatyczne przyrządy pomiarowe, automatyczne pompy wodne i tak dalej. To właśnie w tym centrum gromadzi się „płynne złoto”, przechodzi przez separatory, oddziela się od gazu, następnie płynie do rezerwuarów centralnego zbiornika i wreszcie stąd do gigantycznych rurociągów, którymi spływa na południe.

— Jest to najbardziej nowoczesny system — objaśnia Abazarow. Ropa naftowa jest, cały czas, w ruchu. Przez te kompleksowe urządzenia przepływa 8 milionów ton ropy naftowej rocznie, a pracuje przy nich zaledwie trzech ludzi.

Obecnie, jak powiedział Abazarow, pracują w Samotlorze cztery takie kompleksowe centra. Będzie ich dwadzieścia parę. Tutaj też funkcjonuje centralny sys-

tem zdalnego sterowania, który czujnie śledzi pracę szybów naftowych i procesów produkcyjnych. Pokazano nam, na przykład, pomieszczenie, w którym siedzi kobieta — technik siedząca za pulpitem urządzeń zdalnie sterowanych, sygnalizujących najmniejsze niedociągnięcia we wszystkich 300 punktach wydobywania ropy naftowej.

— Zbudujemy cztery takie centralne stacje dyspozycyjne — powiedział Abazarow — i zaopatrzymy je ponadto w elektroniczne maszyny obliczeniowe do szybkiego opracowywania informacji. W Samotlorze pracuje przez całą dobę 200 szybów naftowych, a całym procesem technicznym kieruje zaledwie 15 ludzi na jednej zmianie, to jest 45 ludzi w ciągu doby.

Niżniewartowsk — to młode, szybko rozwijające się miasto syberyjskie. Położone na obrzeżu Samotłora, jest jednym z wielu miast, które pojawiły się na brzegach środkowego biegu Obu i przyciągają dziś młodzież z całego kraju. Niedługo będzie to miasto, w którym żyć będzie 32 tysiącami mieszkańców. Gdy jedziecie z lotniska, w którą by stronę nie spojrzeć, wszędzie kopia, równąją ziemię budożerami, wszędzie trwają prace ziemne, budują domy i tak dalej i dalej.

Nikt nie zaprzecza, że życie na Syberii jest twarde. Klimat bardzo surowy. Żywności — opowiada członek miejscowych władz miejskich — mamy pod dostatkiem. Mięso i owoce cytrusowe dostarcza się z powietrza, bo koleje jeszcze nie ma. A takie produkty, jak mąka i mleko w proszku dostarczają statki, dopóki lody nie skują rzeki. Miejskowa farma ma tysiąc krów, dwadzieścia tysięcy kurczaków i wielkie cieplarnie, w których hoduje się owoce przez dziewięć miesięcy w roku, chociaż pomidory nie zawsze dojrzewają.

Miasto ma także osiągnięcia w dziedzinie kultury, ale, rzecz jasna, przeżywa trudności wzrostu. Są tu cztery szkoły średnie, specjalna szkoła muzyczna oraz ogólnokształcąca szkoła wieczorowa, w której uczy się około tysiąca robotników. Nauka trwa rok. Za pośrednictwem satelity komunikacyjnego, Niżniewartowsk odbiera programy telewizyjne bezpośrednio z Moskwy. Nie-

zależnie od tego, wybudowane w 1967 roku miejscowe studio telewizyjne nadaje własne programy. W planach rozwojowych miasta przewiduje się, iż w 1975 roku będzie w nim mieszkać 70 tysięcy ludzi, a w 1980 — 130 tysięcy. Tutejszy port lotniczy obsługuje 400 pasażerów dziennie. Samoloty latają do Omska, Swierdłowska i Nowosybir-ska.

Iwan Iwanowicz Niestierow jest dyrektorem Zachodniosyberyjskiego Naftowego Instytutu Geologicznego. Doktor nauk Niestierow, laureat Nagrody Lenina, z ogromnym ożywieniem opowiada o intensywnych badaniach Instytutu i szybkim rozwoju tego najbardziej zasobnego w naftę i gaz rejonu kraju. Zapasy ropy naftowej i gazu są oszałamiające.

— Jeśli zebrać razem wszystkie znajdujące się w Stanach Zjednoczonych zapasy gazu ziemnego, to wyniosą one około 8 trylionów metrów sześciennych — mówi Niestierow, który swego czasu był w Teksasie i Kalifornii. — W obwodzie Tiemeńskim, tylko w Urengojskich złożach znajduje się około 5 do 8 trylionów metrów sześciennych gazu ziemnego. Na północy odkryliśmy złoża oceniane na 10 trylionów metrów sześciennych, a teraz badamy miejsca, gdzie spodziewamy się odkryć złoża rzędu 30 trylionów metrów sześciennych. Dyrektor Niestierow nie ujawnił liczb odnośnie ogólnych zasobów ropy naftowej, ale wspominał, że jest jej tak wiele, że nie wystarczy do zaspokojenia potrzeb w spokojnym malem kraju i szukają wyłącznie wielkich. W Stanach Zjednoczonych złoża ropy naftowej rzędu 200 tysięcy ton uważa się za bogate. W ZSRR pokłady rzędu 15 milionów ton ocenia się, jako mało intrynatne!

Syberyjska ropa naftowa jest najwyższej jakości — zawiera tylko 0,1 do 0,2 procenta siarki w złożach typu Szaimskiego i poniżej 1 procenta w dużych pokładach rejonu Samotłora.

— W bieżącym roku — mówi na zakończenie naszej rozmowy dyrektor Niestierow — wydobędziemy w tym rejonie 60 milionów ton ropy naftowej!...

J. CZECH

Kultura na świecie

IGOR A. MOISIEJEW I JEGO ZESPÓŁ

Kiedy pewnego razu jeden z dziennikarzy postawił Moisiejewowi dość nieokreślone pytanie jak tworzy on balet, choreograf odpowiedział: „Niechże pan nie żąda ode mnie tego, co jest niemożliwe. Oczywiście, mogę w popularnej formie wyłożyć komponenty przyszłego spektaklu, jego dramaturgię, muzykę, choreografię, kostiumy, oświetlenie, dekoracje, scenarzystę. Ale niech analogia, która zaraz przytoczę nie wyda się panu zbyt egzaltowana i sentymentalna. Uważam, że tworzenie jest jak kwiatek, który wyrasta w duszy artysty i który tak łatwo jest zniszczyć. A jeślibyśmy starali się odpowiedzieć panu dokładnie, musiałbym opowiedzieć o całym moim życiu”.

Te słowa w sposób charakterystyczny oddają postawę Igora Moisiejewa wobec jego pracy, wobec umiłowanego tańca. Są to słowa, które choreograf potwierdził całym swym dotychczasowym życiem. Dziś ma 66 lat, jest kierownikiem od trzydziestu pięciu lat Państwowego Zespołu Tańca Ludowego ZSRR, niegdyś był jego założycielem. Ale Moisiejew ciągle jest młody w swych działaniach i swych zamiarach. I nie jest bynajmniej przypadkiem, że ostatnio w rozmowie z teoretykiem i krytykiem tańca Bo-rysem Lwowo-Anochinem (dialog ten drukowała niedawno „Literaturnaja Gazieta”) zastanawia się i usiłuje odkryć nowe formy pracy i oddać poprzez balet nowe treści. Bo o-

becną ideą Moisiejewa jest stworzenie baletu, który odzwierciedlałby jak najlepiej współczesność życia i pracy. Toteż chce uchwycić i przekazać w spektaklach tanecznych najbardziej charakterystyczne przejawy tej współczesności.

W repertuarze stworzonego przez Moisiejewa trzydziści pięć lat temu Państwowego Zespołu Tańca Ludowego reprezentowanych jest ponad 300 tańców różnych narodów. Zespół powstał dzięki pracy i talentowi zarówno kierownika jak i wielu utalentowanych tancerzy, ale duszą tego zespołu zawsze był i pozostaje Igor Aleksandrowicz Moisiejew.

Urodził się w roku 1906 w rodzinie kijowskiego adwokata. Jest potomkiem rosyjskich inteligentów-demokratów. Igor otrzymał staranne wykształcenie. W dzieciństwie wiele podróżował po Ukrainie. Ponieważ jego ciotki były wielkimi nauczycielkami Igor zwiędził liczne chutory i wsie. Już wtedy ludowe pieśni, barwne stroje, żywe, pełne witalności tańce, podania i legendy wzbudzały jego żywe zainteresowanie. Gdy miał lat czternaście rodzice oddają go na naukę do prywatnej szkoły baletowej. Po jej ukończeniu dostaje się do szkoły baletowej przy Teatrze Wielkim (Bolszoj) w Moskwie. Mając lat osiemnaście zostaje solistą, a w następnym sezonie (1925) tańczy główną rolę w jednym z baletów. W tym czasie większość zespołu składała się z baletmistrzów, tancerzy było niewiele toteż Igor miał wiele mo-

żliwości brać udział w tańcach klasycznych. Równocześnie młody Moisiejew zdobywał ogólne wykształcenie. Podczas wakacji zaś odbywał w ojczym dalekiej wędrowki po kraju. W tych to podróżach, pieszych, konnych lub łódka, zwiedza rozmaite okolice. Poznaje górskie rejony Gruzji, zapoznaje się z folklorem burlackim w Syberii Wschodniej, zwiedza Krym. Etnograficzne zainteresowania jakie przejawiał już niemal w dzieciństwie pogłębiają się teraz i utrwalają. Moisiejew coraz więcej interesuje się folklorem różnych narodów, a zwłaszcza pieśniami i tańcami ludowymi. W latach 1935-37 rozwija się coraz bardziej w ZSRR ogólne zainteresowanie tańcami ludowymi. W tych to latach Igor Moisiejew pracuje nad stworzeniem zespołu tańca ludowego ZSRR. Jest to zadanie oibryzmie. Początkowo organizuje coś w rodzaju nieustannego konkursu eliminacyjnego. Stał do niego dziewczęta i chłopcy ci, którzy ukończyli szkoły baletowe i ci, którzy są tancerzami lub tancerkami z zespołów amatorskich w różnych Republikach ZSRR. Igor który dotąd był tylko tancerzem i baletmistrzem musi się teraz stać i choreografem i organizatorem i pedagogiem. Ale już w roku 1937 odbywają się pierwsze występy Zespołu. Wzбудza entuzjazm i podziw publiczności. Zespół składał się wówczas z 37 tancerów i tancerzy. W pierwszym programie reprezentowane były tańce m. in. rosyjskie, białoruskie, moldawskie,

Moisiejew opracowywał je bardzo starannie by przy adaptacji ich na scenę nie utracić z wartości autentycznego tańca ludowego. Tu i ówdzie zwiększał dynamikę, nadawał żywsze tempo lub podkreślał ten czy inny utwór taneczny scenicznym baletowym finałem.

Powoli repertuar wzbogacał się o coraz to więcej tańców ludowych zarówno z terenu ZSRR jak i spoza jego granic. W roku 1945 Moisiejew wraz ze swym zespołem występuje również poza Związkiem Radzieckim, prezentując „Tańce ludów słowiańskich”. W latach pięćdziesiątych objeżdża Europę z tańcami ludowymi krajów socjalistycznych pod hasłem: „Pokój i przyjaźń”. Państwowy Zespół Tańca Ludowego ZSRR zdobywa sobie szeroką sławę. Inny jeszcze cykl baletowy, za który Moisiejew otrzymał Nagrodę Leninowską zatytułowany był: „Po krajach świata” i zawierał tańce ludowe z różnych krajów naszego globu.

Co według pana, oprócz talentu, powinno być właściwością choreografa, który tworzy spektakl taneczny? — zadano kiedyś takie pytanie Moisiejewowi. „Ach, bardzo wiele — odpowiada. — Głównie znajomość natury, natury w szerokim tego słowa znaczeniu, rzeczywistości we wszystkich jej przejawach i specyfiki ludowego tańca. Kiedy zna się autentyczny folklor taneczny, wtedy własna fantazja pracuje swobodnie. Jeżeli zna się prądródła i fantazjuje zgodnie z kierunkiem ludowej twórczości — to wówczas moż-

liwość omyłek jest niemal wykluczona”.

Taniec — powiada Moisiejew — to zniepalająca, jaskrawa barwa na palecie życia danego ludu, ale wzbierająca jedna barwa trzeba znać całą paletę. Przeciwnie ludowość naszej twórczości baletowej nie określa się oczywiście jedynie przez formalne odwzorowanie folkloru tanecznego, ale poprzez poznanie psychologii danego narodu, jego ideałów, jego sposobów wyrażania się w twórczości, melodii i rytmiki jego mowy, poznanie tych wszystkich okoliczności, które w rezultacie prowadzą do takich czy innych specyficznych właściwości ludowego tańca. Takie osiągnięcia i wyrażenie tego w tańcu scenicznym jest zadaniem Moisiejewa niemal głównym jego celem jako choreografa.

Zainteresowania życiowe Igora Moisiejewa nie ograniczają się jedynie do choreografii. Jest on także doskonałym znawcą malarstwa i literatury, architektury i archeologii. Niektóre z pokoiów jego mieszkania wyglądają jak sale muzealne. Zapełnione są niezliczonymi pamiątkami-podarkami ze wszystkich krajów świata. Moisiejew posiada też wspaniałą bibliotekę. Posiada ponad pięć tysięcy książek traktujących o piastach. A jego zbiór dzieł na temat choreografii i teatru jest jednym z największych w Moskwie.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIEŻNOŚĆ

terazniejszość

HISTORIA I LITERATURA

Nie mogłem tej książki czytać podczas wojny, chociaż, jak dzisiaj wiem, krążyła ona wówczas wśród mej rodziny i nawet gdzieś zachował się egzemplarz jednego z jej konspiracyjnych wydań. Nie była wówczas, jak nie jest i dziś, lekturą dla dzieci. Trafiła ona do moich rąk dopiero w trzecim wydaniu, ogłoszonym w wolnej Polsce, pierwszym, które zostało opatrzone prawdziwym nazwiskiem jej autora, a nie tylko pseudonimem. Kilkunastoletni wówczas chłopak pochłonięty jednym tchem jako relację o walce moich rówieśników, opowieść niemalże sensa-

cyjną o faktach ledwo co wówczas znanych i postaciach, które mogły jedynie imponować.

Ponownie przeczytałem tę książkę przed kilkoma dniami, jako człowiek od dawna dojrzały i od niemale lat parający się profesją historyka, i z tej też racji jako tako poinformowany również w materiałach problematyki okupacyjnej.

Wracam myślą do pierwszego spotkania z książką, staram się przypomnieć sobie moje ówczesne wrażenia, na tyle przecież głębokie, że po tylu latach skłoniły mnie do ponownego po nią sięgnięcia, porównując je z tymi, jakie sprawiła ona dzisiaj.

Przez te ponad ćwierć wieku świat zmienił się gruntownie, najbliższa niegdyś, niemal dotykalna przeszłość, o którą człowiek bezpośrednio się ocierał, odeszła do historii, zatarła się i budzi — jak się zdaje — już mniej wzruszeń, za to więcej daje do myślenia. Jest przedmiotem najrozmaitszych zabiegów badawczych, podejmowanych przez historyków i publicystów, którym — czy się z nimi zgadzamy, czy nie — zawdzięczamy w każdym razie to, że o ile więcej, jak niegdyś, dzisiaj o niej wiemy. Wiedzę złożoną ze wspomnień i zasłyszanych zastąpił rezultat lektur i przemyśleń.

„Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, bo o tej to książce wciąż mowa, nie są już dzisiaj, dla współczesnego czytelnika polskiego, sensacyjną relacją o faktach nieznanych, bo zarówno te, które opisuje autor, jak wiele innych podobnych, przezeń niewspomnianych, są już wcale dobrze wiadome wielu czytelnikom. Książka, która pierwotnie była zapisem zdarzeń i funkcjonowała przede wszystkim jako taki, w coraz większym stopniu staje się literaturą; jej relacyjność, która niegdyś tak fascynowała, dziś zdaje się być pretekstem do powiedzenia czegoś więcej niż fakty, do zastanowienia się nad ludzkimi postawami i wyborami w najtrudniejszych życiowych chwilach. Jednocześnie, z tej zmienionej perspektywy uwidacznia się w całej pełni zawarta w niej moralistyka, jest to bowiem opowieść o takich wiecznych sprawach, jak sztuka przezwyciężania samego siebie, przyjaźń, koleżeństwo, poświęcenie, obowiązki.

Literatura: nie wiem, czy autor mógł przypuszczać, że pisząc swoją książkę, aby dać świadectwo postawom i czynom garstki warszawskiej młodzieży w latach okupacji, inauguruje pewien sposób literackiego ujmowania wydarzeń z cza-

sów wojny, który z upływem czasu został podjęty przez innych autorów, piszących na tematy okupacyjne. Pomimo niewznowienia przez długie lata „Kamienie na szaniec” niezwykle silnie wpłynęły na sposób patrzenia na walkę Polaków, nie tylko samej młodzieży, z okupantem i na sposób jej literackiego przedstawienia. Odnosi się to nie tylko do relacji świadków i uczestników o tych samych bądź podobnych środowiskach i wydarzeniach, jak na przykład głośnej książki Czesława Michalskiego o wojnie warszawsko-niemieckiej, ale także do dzieł par excellence literackich, pisanych przez osoby, które nie były uczestnikami opisywanych przez siebie wydarzeń. Niezamierzony sukces autora? Nie wątpię, ale nie zawsze jego świadomych i mimowolnych naśladowców.

Pomimo sukcesu czytelniczego, z jakim spotkały się wszystkie kolejne wydania tej książki, edycji tych było niezbyt wiele, znacznie mniej niż innych utworów o nierównie mniejszej doniosłości. Sprawiała to kontrowersyjność, dla niektórych zaś wprost drażliwość nie tyle relacji, ile opisywanej rzeczywistości. Dopiero odrzucenie schematyzmu ocen w odniesieniu do różnych nurtów walki

podziemnej, dopracowanie się szerszego spojrzenia na tamte lata i ich problemy, przy czym wśród wszystkich ważnych okoliczności nie najmniej istotną był... sam upływ czasu, który ułatwiał refleksję i powściągał emocje, stworzyło tej książce warunki dla normalnego, czytelniczego żywota. Chyba już na długo.

W naszej świadomości historycznej odcisnął się silny ślad tego spojrzenia na walkę z okupantem, które zawarł A. Kamiński w swej książce. Nie oznacza to jednak, aby był on władny ją w pełni zdefiniować, czego też i pewnie nigdy nie pragnął: do swojej historycznej samowiedzy dochodzimy bowiem wieloma, krętymi nieraz drogami, a nie jednym, wskazanym nam gościńcem. I chociaż z upływem lat relacyjna wartość książki usunęła się na dalszy plan, to przecież nie przebrzmiała i nieprzeko się zdezaktualizują te ogólne, humanistyczne wartości, w których obronie stanął autor. „Kamienie na szaniec” są mniej, niż dawniej, relacją i historią, są bardziej literaturą.

LEKTOR

Zdarzenia i zwierzenia

WIETNAM

Nazywał się Nguyen van Dong — jeśli jeszcze żyje, powinien być moim rówieśnikiem. W roku 1957 przyjechał do Łodzi z wietnamskiej wioski. Leżeliśmy na sąsiednich łóżkach w szpitalu fizjatrzycznym na Chojnach. Przez te wspólnie spędzone miesiące nauczyłem go grać w domino i, jak sądzę, trochę polskiego języka. Był urzekającym chłopcem o żywej inteligencji. Dziś nie wiem nawet, czy buduje statki, o czym marzył na szpitalnym łóżku, czy zginał w dżungli lub pod bombami...

Dziś czytam w gazecie, że

obchodzimy Dzień Solidarności z Wietnamem. Dla mnie jest to dzień solidarności z Nguyenem — łagodnym, wrażliwym chłopcem z Wietnamu.

Zastanawiające, jak mało w polskiej współczesnej literaturze doszukać się można prawdziwie głębokich obrazów tego narodu. Jest ten piękny fragment z niewoli w „Niecierpliwości” Jana Gerharda, jest „Dom bez ścian” Wojciecha Żukrowskiego — choć to raczej reportaż. Są, niewątpliwie cenne poznawczo, książki Moniki Warnieńskiej, ale przytłacza je faktografia...

O ile pełniej, bardziej przejmująco mówią do mnie dokumentalne zdjęcia: dzieci idące do szkoły z okragłymi pleciami na plecach, mającymi stanowić tarczę przed odłamkami bomb.

I wiersz Wisławy Szymborskiej, może jedyny we współczesnej poezji polskiej, naprawdę wstrząsający wiersz o Wietnamie:

„Kobieto, jak się nazywasz? — Nie wiem. Kiedy się urodziłaś, skąd pochodzisz? — Nie wiem. Dlaczego wykopałaś sobie norę w ziemi? — Nie wiem. Odkąd się tu ukrywasz? — Nie wiem. Czemu ugryzłaś mnie w serdeczny palec? — Nie wiem. Czy wiesz, że nie zrobimy ci nic złego? — Nie wiem. Po czyjej jesteś stronie? — Nie wiem. Teraz jest wojna, musisz wybrać. — Nie wiem. Czy twoja wieś jeszcze istnieje? — Nie wiem. Czy to są twoje dzieci? — Tak.”

O Wietnamie pisze się w Polsce dużo — nie ma dnia, aby gazety nie przynosiły na pierwszych stronach informacji z doliny Mekongu. Dzień Solidarności odnotowano także dziennikarskim stereotypem... Ale literatura?

Wydawnictwo Literackie opublikowało w tych dniach piękną historię miłości, ujętą w formie listów młodych ludzi, okaleczonych przez wojnę — Japończyka i Wietnamki. Głęboka, humanistyczna książka nosi tytuł „Pozdrowienia dla Wietnamu”. Niestety, jest to przekład z... angielskiego, autorką jest amerykańska pisarka, Edita Morris. Takiej książki nie zna współczesna literatura polska. Dlaczego?

We wszystkim, co się w Polsce pisze o Wietnamie, natłok faktów i polityki przesłaniają nam fenomen psychiki tego wspaniałego i nieodczłonnego narodu. Fenomen nieprawdopodobny, bo to przecież Wietnamczycy wygrywają w końcu tę okrutną wojnę. Wygrywają

ją we wszystkich kategoriach — politycznej, moralnej i psychologicznej — ba, militarnie nawet.

Z jednej strony owa trudność wyobraźni potęga mocarstwa — technika, cybernetyka — z drugiej zaś uparty, mały Wietnamczyk z karabinem na ramieniu, uprawiający ryż pomiędzy jednym lejmem po bombie a drugim, pomiędzy jednym nalotem a drugim... Albo przykład może drastyczny, lecz jakże wymowny. Oto Amerykanie zrzucają na dżunglę tysiące elektronicznych czujników, reagujących na ludzki moc. W dalekich bazach przy aparatach kontrolnych sztabowcy czekają na sygnały lokalizujące skupiska partyzantów. I oto wszystkie aparaty kontrolne dostają obłędu — sygnalizują tysiące, setki tysięcy ludzi w miejscach zupełnie niezwykłych. Cóż się stało? Wietnamczycy przeciwstawili elektronicznej technice... worki z moczem, rozwieszone w pobliżu... baz amerykańskich.

Nieodczłonnny naród, któ-

remu historia tak krótko pozwoliła odetchnąć po wieloletniej wojnie, uwięzionej zwycięstwem pod Dien Bien Phu... Tylko chwila oddechu... Nguyen van Dong przyjechał do Polski, zostawiając pod Dien Bien Phu — swój, niepotrzebny już — karabin. Zanim skończył studia, nad Mekongiem znów zawył obce samoloty.

Dzień Solidarności z Walczącym Wietnamem jest dla mnie dniem solidarności z rówieśnikiem z wietnamskiej wioski. Wiem, że z mojego kraju płyną dla moich wietnamskich rówieśników transporty leków. To dobrze, to jest potrzebne tam, ale nam — tutaj — potrzebny jest literacki wizerunek nie tylko pejzażu zrytego przez bomby, ale psychiki narodu — psychiki nieugiętej, nie podziurawionej przez kule z helikopterów US Army.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

BĘDĘ DOBRĄ ŻONĄ

W drugim numerze nowego kwartalnika krakowskiego — „Magazynu Kulturalnego”, pomiędzy niezbyt rewelacyjnymi i niezbyt wysokiego lotu artykułami, znajdujemy też informację Adama Ogorzałka o corocznej „gieldzie pomysłów” w zakresie imprez, organizowanych przez kluby i domy kultury. Na gieldzie tyka stoper i kto chce zabrać głos — musi się zmieścić w trzech minutach. Adam Ogorzałek z entuzjazmem pisze o gieldzie i podaje przykłady świetnych pomys-

słów, jakie narodzili się w tym trybie. Jeden z nich zainteresował mnie szczególnie. Oto — „studentki opowiadają o akcji pod nazwą „Będę dobrą żoną”. Podczas kolejnych wieczorów dziewczęta uczą się techniki podobania się mężczyznom. Rzecz o strojach, fryzurach, makijażu, seksuologii i polityce. Sześć dorodnych przedstawicielek płci pięknej jako argument ostateczny”.

Wyobrażam sobie tych sześć dorodnych przedstawicielek, mówiących o seksuologii i polityce. Dobra żona, jak wiemy, musi znać technikę podobania się mężczyźnie,

a więc musi się uczać i rozprawiać o kryzysie bliskowschodnim, umiejętnie się przy tym rozbiegać. Widziałem to nawet na filmie: „Ameryka, Ameryka”. To właśnie w Ameryce wymyślono szkoły perfidnego rozbiegania się dla pań, chcących „podołać się mężczyźnie”. Ale tam nie łączą tego z polityką i tam nie robią tego studentki.

Bardzo ciekawe i pożyteczne mogą być w klubach i domach kultury pogadanki o makijażu i o fryzurze, ale chyba prowadzone przez fryzjera i kosmetyczkę. O polityce to już się mówi dość dużo, należy oczywiście ten temat uatrakcyjnić — no, niech by już prelegentkami były dorodne studentki, ale studentki prawa, nauk społecznych, dzienni-

karstwa, historii. Jak to łączyć z seksuologią?

Przechodzą jako „argument ostateczny” i pokazują biednym, nieśmiałym nastolatkom w klubie „Ruchu” na Grzegórkach: patrzcie, jakie mamy powodzenie u panów! A wiecie, jak to się robi? I mówią, jak one to robią. A więc najpierw fryzura, potem makijaż, a potem „technika podobania się”, czyli seksuologia. Kiedy i dokąd podciągnąć spodniczkę. Kiedy przejść do preludium do gry miłosnej. Kiedy i co udawać, żeby się udało. One właśnie tak to robią i nigdy się nie zawiodły. One — dorodne studentki...

Swoją drogą — to ciężki kawałek chleba, być takim usługowcem od kultury klubowej. Inni mogą sobie działać, rozrywać się, myśleć, a on musi wymyślać, czyli mieć pomysły. W dodatku te pomysły muszą koncepcyjnie pasować do planu, wymyślonego gdzieś bardzo wysoko. Ten plan na najbliższy rok (a może, nie daj Boże, na dłużej) każe akcentować Kopernika. Więc

właśnie siedzę na wczasach drugi tydzień i miałem już w ramach usług kulturalnych teatr jednego aktora z programem o Koperniku, zgaduję-zgaduję kopernikańską i odczyt o Wielkim Mikołaju. Przez półtora tygodnia. Po pięćdziesięciu takich tygodniach nie będę mógł bez nienawисти spojrzeć do góry po zapadnięciu zmroku. Prawdopodobnie w tym roku dorodne studentki w rejonie Krakowa będą uczyć techniki podobania się mężczyźnie w nawiązaniu do teorii heliocentrycznej. Z przykładami z życia Kopernika i ze szczególnym wyekspozowaniem Drogą Mlecznej. One to potrafią — są przecież argumentem ostatecznym.

Żeby nie było o „Magazynie Kulturalnym” samych zyczliwości, wspomnijmy jeszcze o artykule wstępnym Andrzeja Magdonia w tymże drugim numerze. Osobiście myślę, że lepiej powiedzieć coś konkretnego i nowego o drobiazgu, niż same banały o rzeczach nader poważnych. Autor omawianego artykułu wstępnego

jest zdania przeciwnego i „uwzględnić” w swej wypowiedzi likwidację biurokracji, emerytury dla rolników, ucieczkę ze wsi do miast, Grudzień, ludzi mądrych i ludzi utytułowanych, pasję badacza, obronę środowiska, debiuty, wznowienia, dużo recenzji, a mało radości. Kończy wielkim zapytaniem: „A kim chciałby być polski student? Dopóki nie odpowiem sobie na to pytanie, wizja przyszłej Polski będzie niekompletna”.

Skoro zaś już wiemy, od czego zależy kompletność wizji przyszłej Polski (od tego, czym chce być student. Chyba prelegentem w klubie?), to pozostaje jeszcze tylko cytować z tegoż artykułu Magdonia: „Leniwy naukowiec woli jeździć na międzynarodowe zjazdy, zamiast studiować literaturę swojego przedmiotu”.

Dla tego jednego zdania warto było wydać 16 złotych i przeczytać 64 strony „Magazynu Kulturalnego”.

ĆWIEK